

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 19 listopada 1910. Nr. 47.

Złodziej mordercą.

(Treść na str. 2).



Nr. 47. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Tajemnicza ucieczka — Pojedynek polityczny. — Fałszywe dokumenty. — Wakacye Gorkiego. — W chińskiej drukarni. — Tunel Tramwajowy. — W walce z epidemią. — Wymiar sprawiedliwości w Ameryce. — Zmiany w dyrekcyach kolejowych. — Pożar fabryki maszyn. — Domniemany następca bar. Bienertha. — Zmiana tronu w Syamie. — Werbunek do amerykańskiego wojska. — Rada powiatowa w Żywcu. — Zawody balonów o nagrodę Gordon-Benetta.

Złodziej mordercą.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed kilku dniami wydarzył się w Berlinie strany wypadek, jakich nie wiele notuje nawet berlińska policya kryminalna. Oto młody pewien człowiek włamał się do mieszkania małżonków Tetzke, a zaskoczony przez powracających domowników, oboje strzałami z rewolweru pozbawił życia.

Straszny ten wypadek, który w Berlinie wywołał wielkie wrażenie, miał następujący przebieg. Przy ulicy Poczdamskiej mieszkał z żoną i dzieckiem Robert Tetzke, właściciel magazynu mód. Pewnego dnia oboje wyszli na przechadzkę, a około 9 wieczór powrócili do domu. Pierwsza weszła do mieszkania Tetzkowa i ku swemu przerażeniu spostrzegła tam obcego człowieka. W tej chwili padł strzał, a Tetzkowa, ciężko raniona w głowę, runęła na ziemię. Mąż jej usłyszał już na schodach krzyk w mieszkaniu, przyspieszył więc kroku i razem z dzieckiem wbiegł do pokoju. Ujrzał zbrodniarza z dymiącym rewolwerem w ręku i żonę z krwawiącą raną. Zrozpaczony chciał rzucić się na rzezimieszka, ten jednak uprzedził go i celnym strzałem w usta, powalił go na ziemię, poczem szybko uciekł.

Sąsiedzi, usłyszawszy w pobliżu odgłos strzałów, wpadli natychmiast do mieszkania Tetzków, gdzie oczom ich przedstawił się okropny widok dwojga bezprzytomnych małżonków. Kilka osób widziało też zdaleka uciekającego szybko po schodach zbrodniarza. Zawiadomiono niezwłocznie o strasznej zbrodni policyę, pospieszono też z ratunkiem paraniouym małżonkom, niestety bezskutecznie, gdyż oboje w kilka godzin potem umarli.

Tymczasem policya wzięła się do wyszukania winowajcy, którego też wnet wyśledzono w młodym człowieku, nazwiskiem Tippe. Stwierdzono, iż siostra jego służyła u Tetzków, stąd też znał rozkład mieszkania i wiedział, o której godzinie Tetzków nie ma w domu. Zamierzał on okraść ich, przeszkodził mu jednak w tem przedwczesny powrót Tetzków. Bojąc się, by go nie oddano w ręce policyi, porwał za rewolwer i strzelił ku obojgu małżonkom, poczem zbiegł i kręcił się bez celu po ulicach Berlina. Ujęty przez policyę, zapierał się początkowo zbrodni, dopiero po pewnym czasie przyznał się do wszystkiego, oświadczył tylko, że nie miał zamiaru mordować Tetzków i że stało się to przypadkiem.

Rycina tytułowa w dzisiejszym numerze przedstawia chwilę tragicznego zajścia w mieszkaniu Tetzków.



Wakacye Gorkiego: Wybitny literat na wycieczce w zatoce Neapolitańskiej; 1. Gorkij, 2. Robert Bracco, znany pisarz dramatyczny, 3. Gorkij junior.

Wakacye Gorkiego.

Jedną z najbardziej malowniczych, ale też najdzikszych okolic Włoch jest wyspa Capri, leżąca u wejścia do zatoki Neapolitańskiej, nader skalista, posiadająca piękne groty i wspaniałe widoki, a klimat bardzo zdrowy.

W starożytności była ona już miejscem pobytu niektórych cesarzy rzymskich, następnie wysyłano tam przestępców. W ostatnich czasach stała się ona ulubionem miejscem wycieczkowem i letnią siedzibą włoskiej arystokracyi; żądni wrażeń turyści zjeżdżają tu z całego świata i na łonie przyrody spędzają przyjemne chwile. W miarę napływu letników i wycieczkowców mnożą się także i najrozmaitsze urządzenia, służące ku ich wygodzie, powstają wspaniałe wille prywatne i hotele.

W bieżącym roku bawi na Capri znany „włóczęga“ rosyjski, Maksym Gorkij wraz z swą rodziną, aby wypocząć po trudach i kłopotach tułaczego żywota.

Aleksy Maksymowicz Pieszków, gdyż tak brzmi rodowe nazwisko znakomitego pisarza, jest tam przedmiotem ogólnego zaciekawienia, jakie budzi i swą ekscentryczną postacią i dziwnemi kolejami życia.

Urodzony w r. 1869 w Niżnym Nowogrodzie, nie otrzymał żadnego wykształcenia, a oddany w ósmym roku życia na naukę do szewca, zmieniał kilkakrotnie rzemiosło, wreszcie, rozmiłowany w swobodzie, został włóczęgą. W wędrówkach swych, boso i wynajmując się do różnych robót dla zarobku, zwiedził prawie całą Rosyę, przepłynął też całą Wołgę jako pomocnik kucharza na statkach lub sprzedając podróżnym „kwas“. W Kazaniu zetknął się ze studentami uniwersytetu, którzy pożyczali

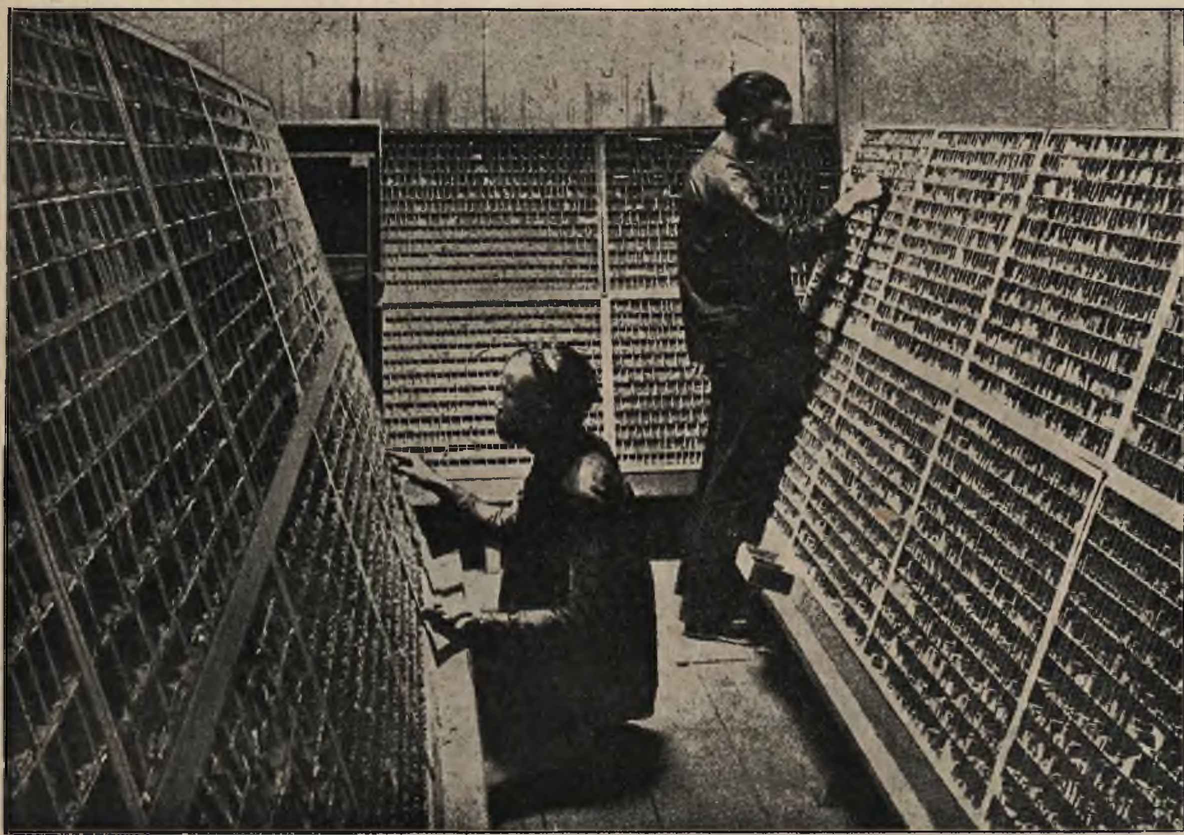


Wakacye Gorkiego: Gorkij z małą Włoszką na tarasie swej willi.



Przyszły władca Norwegii: Królowa Maud, jej syn Olaf i królowa-wdowa angielska Aleksandra na przechadzce pod Kopenhagą.

mu książek do czytania, opuścił ich jednak wkrótce, aby dalej pędzić żywot tułaczy, który najbardziej odpowiadał jego usposobieniu. Znany pisarz rosyjski Włodzimierz Korolenko, zauważywszy w nim wielki dar obserwacyjny, znajomość życia ludu, poetyczne usposobienie i łatwość wysławiania się, namówił go do spisywania wrażeń. Gorkij usłuchał rady i odtąd datuje się jego literacka karyera, w której doprowadził tak daleko, że porównywano go z Turgeniewem.



W chińskiej drukarni: Wnętrze chińskiej zecerni.

Zmuszony okolicznościami, opuścił ojczyznę, zwiedził prawie całą Europę i Amerykę, nigdzie jednak długo nie potrafił usiedzieć na miejscu.

W czasie pobytu na Capri odwiedzają Gorkiego różne wybitne osobistości, dziennikarze i literaci wszelkich narodowości, każdy bowiem chce poznać osobiście tę rzeczywiście nader wybitną indywidualność.

W bieżącym numerze podajemy dwa zdjęcia fotograficzne z życia znakomitego literata na Capri.

Tajemnicza ucieczka.

Wielkie wrażenie wywarła przed kilku dniami wiadomość, iż Lew hr. Tołstoj, wielki pisarz i myśliciel i artysta, opuścił wśród tajemniczych okoliczności swoją posiadłość Jasną Polanę pod Moskwą i zniknął, niewiadomo gdzie. Wiadomość ta stanowiła światową sensacyę nietylko ze względu na nazwisko zbiega, jedno z najbardziej znanych i najpopularniejszych, ale przedewszystkiem ze względu na tajemnicę, jaką cała sprawa ucieczki była otoczona.

W pismach ostatnich Tołstoja uderzała nuta rozdźwięku i niezadowolenia z powodu sprzeczności pomiędzy jego teoryami a praktycznem ich stosowaniem w życiu. Wielki pisarz czuł się podobno skrępowany otaczającymi go stosunkami, wpływem najbliższego otoczenia i najbliższej rodziny. Wszyscy, którzy go znali, którym nie obce były jego poglądy na życie, jego charakter i pragnienie zastosowania w praktyce głoszonych ideałów miłości chrześcijańskiej, prostoty życia, ubóstwa i pracy, przypuszczali, że jego wola okaże się silniejsza od krępujących go więzów i że pozwoli mu wyrwać się z duszącej go atmosfery.

Sfery zaś, które stały bliżej jego domu, wiedziały, że w życiu rodzinnem hr. Tołstoja powtarzały się coraz częściej niesnaski i nieporozumienia. Tłem ich była różnica poglądów na sprawy materyalnej natury. Zaostrzyły się od czasu, gdy hr. Tołstoj odmówił przyjęcia nagrody Nobla, co w rodzinie pisarza wywołało wielkie niezadowolenie. Ta sprawa miała też ostatecznie skłonić hr. Tołstoja do wcielenia w czyn dawniej już powziętego zamiaru.

O szczegółach ucieczki doniosły pisma nie wiele. Nastąpiła ona w ubiegły czwartek nad ranem. Hr. Lew Tołstoj wyszedł w towarzystwie swego przybocznego lekarza dra Makowieckiego z domu i kazawszy zaprzęgnąć konie do powozu, pojechał do najbliższej stacyi kolejowej w Szczekinie. Zabrał ze sobą tylko walizę z bielizną i książkami.



Tajemnicza ucieczka: Lew hr. Tołstoj jako cyklista.

Nieobecność hr. Tołstoja w domu zauważono w godzinach porannych. Zaczęto go szukać i wówczas znaleziono list, adresowany do hr. Tołstojowej, w którym starzec żegna się z żoną i dziećmi, prosi, aby się nie niepokojono jego niespodziewanym wyjazdem, gdyż był on koniecznym i oświadcza, że nie może żyć dłużej w otoczeniu przepychu i bogactwa wbrew swym przekonaniom i głoszonym teoryom. Zapewnia wkońcu, że pod żadnym warunkiem do domu już nie wróci, gdyż postanowił nieodwołalnie ostatnie dni żywota spędzić w zupełnem odosobnieniu, prosi też, by go nie szukano.

Wiadomość ta wywołała w całej rodzinie wiel-



Tajemnicza ucieczka: Lew hr. Tołstoj.



Tunel tramwajowy: Linia napowietrznego tramwaju z Berlina do Danewitz, prowadząca przez kamienicę.

kiego starca ogromne poruszenie i konsternacyę. Zwłaszcza żona hr. Tołstoja popadła w rozpacz niewymowną i podobno dwukrotnie usiłowała popełnić samobójstwo. Mimo wyraźnego życzenia hr. Tołstoja, rodzina, która zebrała się w Jasnej Polanie, poczyniła kroki celem odszukania zbiega i rozesłano w tym celu szereg depesz z zapytaniami.

Dowiedziano się wnet potem, iż hr. Tołstoj odjechał trzecią klasą pociągu osobowego ze Szczekina do Gorbatowa. Dalsze jednak losy starca były narazie nieznane. Przypuszczano, że schronił się do któregoś z klasztorów pobliskich, chcąc tam w odosobnieniu spędzić resztę życia.

Istotnie korespondent „Russkiego Słowa“ odnalazł go w dwa dni później w żeńskim klasztorze szamordyńskim w pobliżu miasta Kozielska w gub. kałuskiej. W klasztorze tym przebywa jego siostra.

Cały świat czeka z niezmiernem zainteresowaniem dalszych wiadomości o losach wielkiego starca.



Kłopoty pieniężne egzotycznego monarchy: Sułtan państwa Sulu na wycieczce w Londynie.

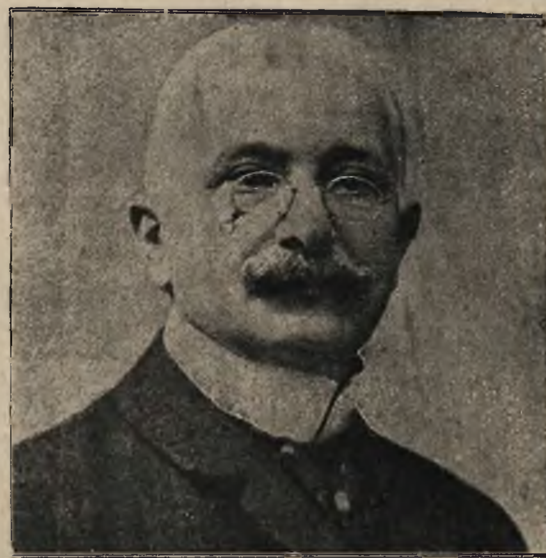
W chińskiej drukarni.

Kultura chińska sięga czasów bardzo odległej przeszłości i była niegdyś ogromnie wysoka. Chiny są ojczyzną bardzo wielu wynalazków, które jednak z czasem poszły w niepamięć, aby następnie odżyć po wielu wiekach w krajach zachodnich. Swietną też była i bogatą chińska literatura, a świadczą o tem wymownie istniejące po dziś dzień liczne dzieła chińskich uczonych i literatów. Dzieła te pozostały przeważnie w rękopisach i kopiach pisanych, ponieważ sztuka drukarska w dzisiejszem tego słowa znaczeniu była Chińczykom obca.

Obecnie przyswoili sobie Chińczycy druk pisma, co ze względu na niesłychaną ilość liter, istniejących w alfabecie chińskim, nie było rzeczą łatwą.

Pismo chińskie mianowicie jest pismem wyrazowem, to znaczy, że niemal każdy wyraz ma osobny znak. Znaków tych jest około 30.000. Pisownia chińska sięga czasów zamierzchłej przeszłości. W najdawniejszej swej formie składała się ona bądź z pojedynczych bądź ze złożonych obrazków i symbolów. Z czasem powstało tam pismo bardziej uproszczone, a ostatecznie w IV. w. po Chr. utworzono pismo, dziś w Chinach powszechnie używane, zwane *khaischu.* To pismo też znalazło później zastosowanie w druku.

Mimo pewnego uproszczenia jest i dziś jeszcze chińska sztuka drukarska niesłychanie zawikłana, a zecerzy tamtejsi muszą być prawdziwymi sztukmistrzami, by sobie dać radę z niezliczoną masą czcionek o najrozmaitszem brzmieniu i znaczeniu. Kaszty, w których się chińskie czcionki znajdują,



Domniemany następca bar. Bienertha: Były prezydent gabinetu dr. Paweł Gautsch bar. v. Frankenthurn.

mają ogromne rozmiary i setki przedziałek. Zecerzy uwijają się między takiemi kasztami, wybierając z nich odpowiednie znaki drukarskie i składając z nich słowa, wiersze, a wkońcu całe stronice gazet lub książek.

Rycina nasza przedstawia właśnie wnętrze chińskiej zecerni i pracujących przy kasztach zecerów.

Daje ona najlepsze pojęcie o ogromnych rozmiarach kaszt drukarskich w Chinach.



Ochrona młodzieży przed gruźlicą: Grupa pensyonarzy sanatoryum w Szczawnicy z lekarzem zakładu dr. M. Hammerschlagiem w środku.

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez **WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.**

3

Bem porwał za pałasz i ciął nim raz i drugi po kadłubie, po łbie kudłatym. Krew trysnęła. Kadłub wreszcie uległ i targnięty przez podpułkownika runął obok wyszczerzonego trupa baby.

Bem pochylił się nad dziewczęciem i podźwignął je. Czarne oczy dziewczęcia mgłą zaszły, małe jego rączyny oplotły szyję podpułkownika, drobne, wiotkie ciało stężało.

Podpułkownik stał przez chwilę bezradny, jakby zawstydzony a może zdumiony lekkością dźwiganego ciężaru. Gdzież bo, toć unosił ją, w ramionach trzymał a nie czuł.

— Dziecina taka, złotowłosa, kilkunastolatek zaledwie... Dziw, skąd się w tem piekle wzięła!... Unurzane biedactwo, może ranne... Już cię tak nie zostawię... A grzeje maleństwo...

Kula armatnia zaryła się w pobliżu. Bem bąknął coś pod nosem i ruszył do bateryi.

Tu zjawienie się podpułkownika z dziewczęciem na ręku wywołało poruszenie. Bem atoli nie zważając na nie, zawołał na najbliższych żołnierzy i kazał im w rozbitym wozie markietana wody poszukać a sam dziewczę na murawie ułożył i wódką z manierki własnej jął trzeźwić. Wysłani żołnierze, a między nimi Surmacki, doskonale się sprawili, bo nie tylko bańkę z wodą przynieśli, ale i baryłkę okowity. Podpułkownik tej ostatniej, jakby nie zauważył, pochłonięty dalej energiczniejszem jeszcze rzeźwieniem dziewczęcia.

Dopiero kiedy zemdlona, omyta nieco ze krwi, opatrzona na podrapanych i pokąsanych rękach i ramionach otworzyła powieki a obrzuciła Bema gorącem spojrzeniem swych wielkich, czarnych oczu, podpułkownika zawstydzenie zdjęło, tem większe, iż czuł na sobie zezujący ciekawie wzrok kapitana Orlikowskiego.

Ten ostatni w lot chwycił sposobność zerwania z subordynacyą.

— Wcale nieszpetny dzieciak.

Bem sponsowiał.

— Hę? Co? Proszę na miejsca! Kto przy ostatnim jaszczyku? Prószyński!... Zabierz pan tymczasem i bacz... honorowi twemu polecam... Może trafi się podwóda, trzebaby wyprawić ją do Warszawy, do Pułtuska bodaj...

Prószyński zaprowadził dziewczątko na ogon bateryi i tam, usadowiwszy ją na pudle wózka amunicyjnego, podoficerowi staremu Mateuszowi ją zlecił.

Podpułkownik zaś, już reszty niewczesnego roztkliwienia wyzbywszy, dosiadł wierzchowca. A czas był największy, bo nim Bem zdołał artylerzów do ładu napędzić, porucznik Jabłonowski zarył przed nim pianą okrytego konia.

— Pogrom, podpułkowniku, nasi cofają się, uchodzą... baterya Turskiego wzięta... chmary nieprzyjaciela są tuż...

— Rozkaz! Masz rozkaz?!

— Żadnego rozkazu... niema sztabu, niema wodza!... Legli!... Klęska! Przegrana!

— Milcz! — rozkazał gwałtownie Bem — ani słowa więcej!

Zaczem ryknął zajadle:

— Ba-czność!!... Nasza pora! Zbieraj cugle. Za mną, naprzód — ...arsz!!

Podpułkownik spiął konia ostrogami. Baterya zawahała się, zadzwoniła żelazem, zgrzytnęła, natężyła szleje i runęła za Bemem w odmęt bitewny...

II.

Słońce zaszło a z niem ostatni błysk nadziei dla Skrzyneckiego, nadziei, której treścią było już nie zmożenie feldmarszałka Dybicza, nie wygranie ostrołęckiej bitwy, lecz zgotowanie mu oporu, lecz wyparcie go za Narew, lecz ocalenie szczątków wojska polskiego przed śmiertelnym pościgiem.

Złamana, podarta na strzępy dywizya Langermana jeszcze próbowała stawić opór, jeszcze usiłowała godzinę klęski opóźnić. Daremnie. Piechota rosyjska pod osłoną morderczego ognia bateryi nadbrzeżnych, opanowała już część nasypu pułtuskiego, już łańcuchem tyralyerów szła, już czyniła miejsce dla gotującej się do przejścia Narwi, kawaleryi. Armaty polskie milkły. Tu i ówdzie sprawione pospiesznie oddziały ułanów i strzelców konnych zrywały się do szarży, lecz podarte, skłębione nieubłaganym miotem kul, ustawały w pół drogi, pierzchały w nieładzie. Tu i ówdzie, zagrzana gorącem wezwaniem, kompania woltyżerów lub grenadyerów rzucała się na oślep z pochylonymi bagnetami, na batalion, na pułk, na dywizyę, na zdziesiątkowanie, na śmierć niechybną. Były to już konwulsye. Bitwa dosięgnęła kresu, którego nie mogło uchylić ani męstwo, ani poświęcenie, ani szalona brawura oficerów, ani zapał żołnierzy.

Niebo ciemniało. Krwawa łuna pożarów, niszczących Ostrołękę, rozpalała się. Baterye łyskały już ognistemi żądłami.



Skrzynecki wpił lunetę w mroki wieczorne...

Skrzynecki trwał na czele resztek ósmego pułku. On jeden nie stracił przytomności, a raczej on jeden w obliczu pogromu, ją odzyskał. Zimny a czujny, przykładem odwagi świecący, on jeden ogarniał rozpacz położenia, on jeden nie załamywał rąk. Teraz dopiero miał Skrzynecki, co moment, dla otaczającej go garści wycieńczonego wojska znakomity ruch, miał co moment i rozkaz genialny i słowo krzepkie i moc wodza nad wodzami. I gdyby mu był Giełgud przyprowadził swoją dywizyę, gdyby los dał Skrzyneckiemu jedną brygadę, jeden pułk świeży, wypoczętej rezerwy — cha, toby z nim cudu dokazał...

Ale i Skrzynecki nie mógł naprawić błędów naczelnego wodza... ale i Skrzynecki nie zdolen był uchylić klęski, która poczęła się nie z rozprawy pod Ostrołęką, jeno z całego pasma nieopatrznych, gnuśnych rządów, z lekkomyślnego prowadzenia sławetnej wyprawy na gwardye.

Skrzynecki trwał atoli na stanowisku, trwał, a może kuli szukał, a może okupienia win popełnionych.

Tymczasem ogień karabinowy tyralyerów rosyjskich ustał raptownie a i baterye z rzadka odzywać się zaczęły.

Skrzynecki wpił lunetę w mroki wieczorne i odetchnął.

Czarne pasma piechoty rosyjskiej zwierały się, kupiły przed mostem. Tarabany cichy, miarowy wybijały takt na zbór, na ład.. Więc Dybicz do zaniechania bitwy się gotuje, nareszcie! Teraz jeszcze kilka strzałów pożegnalnych i noc, noc cała wytchnienia, noc cała na zebranie sił, na dobycie się z piekielnego zamętu, na cofnięcie się z honorem.

I Skrzynecki już rozkazy wydał, jak woltyżerowie strzelców pieszych mają w pojedynkę rozsypać się półkolem, wyczekać chwili, gdy ostatni batalion na most wejdzie i jak mają wziąć go na krzyżowy ogień, a jak kompania saperów do przyczułka mostowego ma się zakraść i minę prochową założywszy, podpalić go; jak znów inna kompania saperów most drugi, zniszczony prawie, do reszty zatopi.

Echa tych rozkazów już i o zaciągnięcie wedet nad Narwią jęły się troszczyć i o pogrzebanie poległych i o podwody dla rannych i ofuraże i o wyznaczenie obozowiska.

W zmordowane, wyczerpane, potem i krwią oblane niedobitki wojska polskiego otucha wstąpiła. Żołnierz opuszczał do nogi karabin, rozpaloną lufę na przedramieniu zapierał i chłodził spieczone usta wilgotną ziemią.

Skrzynecki czuwał z okiem zapartem na poruszających się leniwie czworobokach piechoty rosyjskiej, czuwał i czekał.

Naraz ponad trawionemi pożogą domostwami Ostrołęki snop iskier trysnął w niebiosa a za niemi legion płomiennych języków ślizgnął się ku górze i buchnął czerwonem światłem. Wieża ostrołęckiego kościoła stanęła w ogniu.

Wódz naczelny, oślepiony blaskiem, który zalał oba brzegi Narwi, zmrużył na mgnienie powieki, gdy je rozwarł, już sto armat ryknęło, już chmura ołowiu i żelaza dosięgnęła rojących o spoczynku żołnierzy Skrzyneckiego.

Piechota rosyjska równocześnie drgnęła i jęła następować pełnym frontem.

Skrzyneckiemu krew uderzyła do głowy. Chciał głosu dobyć, zawołać na oficerów, na żołnierzy, by za krze, za poszycie zagajnika się cofali — nie mógł. A czarne czworoboki szły nieubłaganie miarowym krokiem ku polanom, wyżeranym przez armaty, ku ostatniej pozycyi naczelnego wodza.

Od strony zagajnika kilkanaście bębnów zadudniło żałośnie. Jakaś, zasobniejsza w amunicyę, kompania usiłowała nierównem trzaskaniem kilkudziesięciu karabinów dotrzymać placu gromom działowym. Tuż w pobliżu Skrzyneckiego rozległ się młody, hardy okrzyk: „Naprzód, za mną!“ lecz nim przebrzmiał, nim dosięgnął tych, których wołał, już zmieszał się ze złamami granatu i z pyłem wypryśniętej ziemi. Zresztą niemoc okrutna owładnęła obrońców prawego brzegu Narwi. Wyrok nieubłagany zapadł. Żaden rozkaz, żaden ruch nie oddali go. nie osłabi, nie umniejszy. Czy tu, czy o tysiąc kroków dalej lub bliżej, jeden los, jedna śmierć, jedna mogiła.

Wtem, od lewej strony pozycyi Skrzyneckiego zerwał się szalony tentent i łomot żelaza i runął wprost na czoło piechoty długim, poskręcanym wężem.

— Kawalerya! Ułani! Strzelcy! Nasi! — rozległy się bezładne okrzyki.

Skrzynecki porwał za lunetę. Śród kłębów dymu, przed linią nadchodzącego czworoboku rosyjskiego, szarżował oddział kawaleryi dwójkami, pędził w lewo, na oślep, ku pagórkowi...

Wódz naczelny jeszcze nie ogarnął, co by to mógł być za szwadron, co za pułk, ani co jego naczelnik zamierzał, czy atakował, czy uchodził, czy był to poryw męstwa nad męstwami, czy hasło do popłochu — gdy naraz oddział ten stanął jak wryty, zaszamotał się, chrapnął trąbkami i zygnął dwunastu paszczami dział w sam środek czworoboku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Uczczenie zasłużonego profesora.

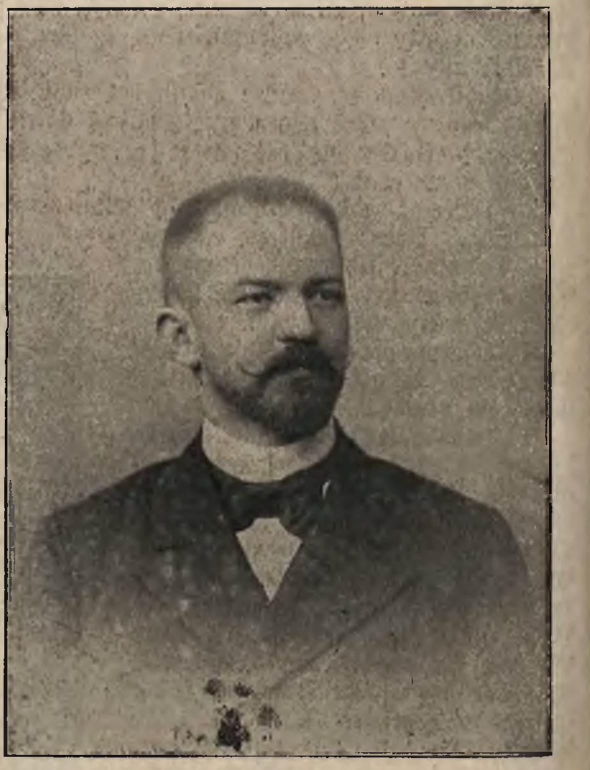
Ruch filozoficzny we Lwowie, od paru lat niezmiernie silnie i pięknie się rozwijający, ma swoje ognisko w polskiem towarzystwie filozoficznem, założonem przed dziesięciu laty przez powołanego w tym czasie na katedrę filozofii w uniwersytecie lwowskim prof. dra Kazimierza Twardowskiego. I o ile to towarzystwo przyczyniło się rzeczywiście do rozbudzenia naukowego ruchu we Lwowie, to jest to załugą przedewszystkiem jego założyciela i przewodniczącego, prof. Twardowskiego.

Przed objęciem katedry we Lwowie, był prof. Twardowski docentem na wszechnicy wiedeńskiej, gdzie mimo młodego wieku cieszył się opinią wybitnego uczonego. We Lwowie zastał ruch filozoficzny wśród młodzieży na poziomie bardzo niskim. Zabrał się tedy energicznie i z zapałem do pracy, której owoce nie długo dały na się czekać. Wykłady z zakresu ścisłej filozofii, w czasie których dawniej sala świeciła pustkami, ściągały od chwili objęcia ich przez prof. Twardowskiego tłumy młodzieży, tak iż o miejsce walczyć trzeba było; toż samo działo się i na seminaryach filozoficznych. Równorzędnie poczęła się młodzież bardzo żywo interesować kwestyami filozoficznemi, a wyrazem tego ruchu stało się akademickie kółko filozoficzne. Prof. Twardowski i to kółko otaczał swą serdeczną opieką, bywał stałym gościem jego posiedzeń naukowych i kierował dyskusyą.

Prócz tego założył prof. Twardowski polskie towarzystwo filozoficzne i skupił około niego wszystkich pracujących we Lwowie na polu filozofii i nauk ścisłych. Organem towarzystwa jest „Przegląd filozoficzny“, którego roczniki zawierają mnóstwo prac uczniów szkoły prof. Twardowskiego, prac, dowodzących najlepiej, że poziom tej nauki jest dzięki znakomitemu profesorowi bardzo wysoki.

Wspomnieć się musi jeszcze i o tem, że prof. Twardowski także jako prezes powszechnych wykładów uniwersyteckich, jako prezes towarzystwa nauczycieli szkół wyższych i jako prezes towarzystwa gimnazyum żeńskiego im. Słowackiego, zdobył sobie ogólne uznanie i wdzięczność. W szczególności jednak polskie towarzystwo filozoficzne, pomne jest wielkich zasług swego prezesa, uczciło je też wraz z gronem młodzieży akademickiej z okazyi setnego naukowego swego posiedzenia.

Prof. Twardowski, człowiek młody, pełen sił i temperamentu, ma przed sobą dużo jeszcze lat pracy na polu naukowem i położy niewątpliwie większe jeszcze zasługi około wykształcenia młodzieży i około polskiej filozofii.



Uczczenie zasłużonego profesora: Prof. dr. Kazimierz Twardowski.

Wymiar sprawiedliwości w Ameryce.

Sądownictwo amerykańskie różni się bardzo pod wielu względami od sądownictwa naszego. Inne tam są zasady prawa karnego i cywilnego materyalnego, inna także procedura sądowa. Wspólne ma zaś wymiar sprawiedliwości w Ameryce z naszemi stosunkami to, iż odbywa się jawnie i publicznie.

Sale rozpraw sądowych w Ameryce, zwłaszcza w miastach dużych, bardzo obszerne i widne, tak iż publiczność, chcąca się przysłuchiwać interesującym nieraz rozprawom, może to czynić zupełnie wygodnie.

Podobnie jak u nas, jest w miastach amerykańskich bardzo wiele osób, spędzających na rozprawach sądowych przeważną część dnia. Tacy stali bywalcy rozumieją się bardzo dobrze na kodeksie i na procedurze, umieją ocenić wartość i wiarygodność zeznań rozmaitych świadków, niejednokrotnie też trafnie przewidują wynik procesu.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy dwa zdjęcia z sali rozpraw sądowych w Nowym Jorku. Jedno zdjęcie przedstawia trybunał sądowy, drugie zaś publiczność, zgromadzoną w obszernej sali rozpraw i przysłuchującą się z zainteresowaniem rozprawie przeciw pewnemu żydowskiemu kupcowi, który ogłosił niewypłacalność i został za to pociągnięty do odpowiedzialności.



Wymiar sprawiedliwości w Ameryce: Widok sali rozpraw sądu w Nowym Jorku. W głębi trybunał i adwokaci.

Wielka powódź na Kubie.

Między wyspami Antylskiemi, leżącemi na oceanie Atlantyckim, największą jest wyspa Kuba, licząca około 112.000 klm. kwadratowych powierzchni. Wybrzeża Kuby są po większej części płaskie, bogate w zatoki, jednak z powodu mielizn i skał podwodnych trudno dostępne.

Wody na tej wyspie jest pod dostatkiem, a dostarczają jej liczne rzeki, przecinające wyspę w wielu kierunkach. Klimat tam bardzo gorący i niezdrowy. Pod względem politycznym Kuba należy od lat kilkunastu do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Tę to wyspę nawiedziła niedawno straszna katastrofa powodzi. Mianowicie wskutek ulewnych deszczów wezbrały liczne tamtejsze rzeki i zalały olbrzymie obszary wyspy.

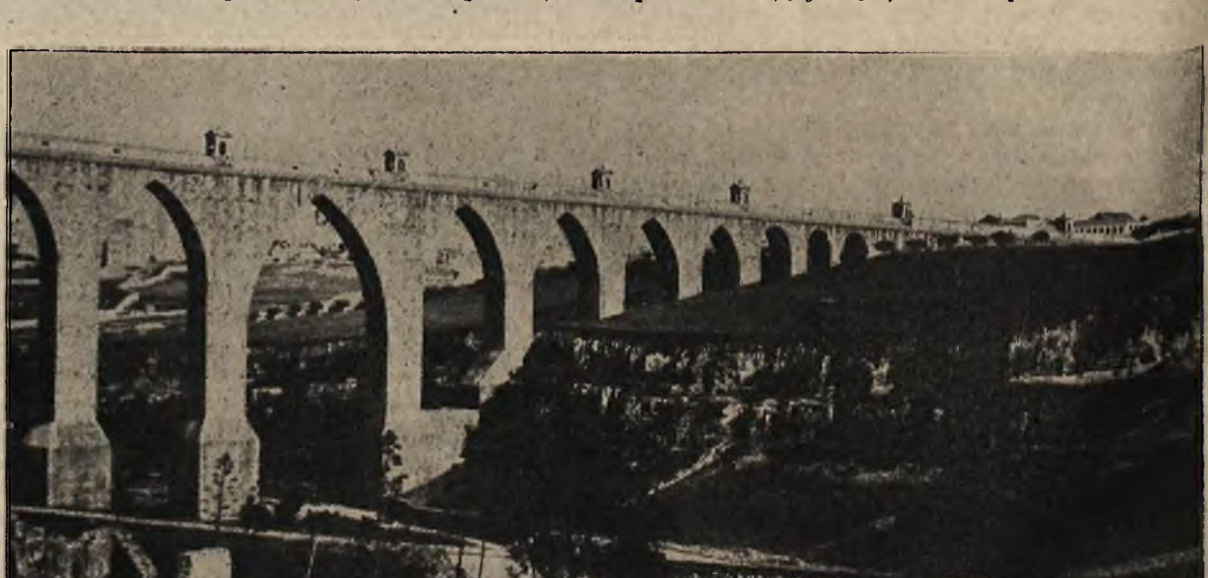
Katastrofa dotknęła przedewszystkiem stolicę wyspy, duże i piękne miasto Hawanę. Woda zalała tam większą część miasta, a że powódź szerzyła się bardzo gwałtownie i zaskoczyła mieszkańców niespodziewanie, zginęło skutkiem katastrofy około 100 osób. Ucierpiały także domy w Hawanie, z których wiele się zawaliło, a wiele musiano delożować.

Także inne miasta Kuby, oraz sporo wsi poniosło dotkliwe szkody, których suma dochodzi kilku milionów.

Rycina nasza przedstawia scenę z jednej z ulic stolicy Kuby, Hawany, podczas powodzi.

Rada powiatowa w Żywcu.

Zachodnie kresy naszego kraju pozyskały świeżo nową placówkę, a jest nią nowo wybudowany gmach Rady powiatowej w Żywcu. Gmach ten, przedstawiający się już zewnątrz bardzo okazale.



Wodociąg lizboński: Słynny wodociąg lizboński, największa budowla w Portugalii.



Pojedynek polityczny: Orężna walka dwu oficerów bułgarsk ch, z powodu niepo ozumienia na tle politycznym

urządzony został z wielkim komfortem przez jednę z firm krakowskich. Nowy gmach Rady powiatowej daje bardzo dobre pomieszczenie licznym biurom tej instytucyi.

Zaznaczyć należy, że przy budowie tego gmachu znalazł wyraz pietyzm dla przeszłości i etnografii powiatu żywieckiego, mianowicie dwie piękne sale przeznaczono specyalnie na pomieszczenie muzeum powiatu. Muzeum to zostało bogato wyposażone i daje najzupełniejszy obraz dziejów Żywca i jego okolicy, jako też etnografii powiatu.

Z wielkiem uznaniem godzi się podkreślić przy tej sposobności, że cały budynek Rady powiatowej i jego wewnętrzne urządzenie jest dziełem sił wyłącznie krajowych.

Ustępująca obecnie z powodu kończącej się kadencyi żywiecka Rada powiatowa z prezesem dr. Edmundem Udzielą na czele, pozostawia po sobie wiekopomną pamiątkę, która najlepiej i najwymowniej świadczyć będzie o tendencyach tej Rady i o jej szlachetnych usiłowaniach, gmach zaś „Sejmu" powiatowego będzie trwałą i rzeczywistą ozdobą miasta.

Zmiana tronu w Syamie.

W stolicy Syamu, w mieście Bangkoku, panuje ogólna żałoba z powodu śmierci zasłużonego i ogólnie miłowanego króla Chulalongkorna. Jak już donosiliśmy, zmarły król syamski był człowiekiem wysokiej kultury. Podziwiano jego wielką wiedzę a zwłaszcza nadzwyczajną znajomość buddyzmu.

Pogrzeb zmarłego króla odbył się niedawno w sposób niezwykle uroczysty. Zwłoki króla spoczywały przez 9 dni w pałacu, a przez ten czas wszystkie sklepy i gmachy były pozamykane. Nie było słychać ani śpiewów ani nawet głośnych rozmów, tak ogólną była żałoba.

Dopiero po upływie tego czasu rozpoczęto modły za zmarłego, a zwłoki jego przewieziono do królewskiej pagody, złożono w trumnie szczerozłotej i pokryto świętem kwieciem. Trumnę tę złożono na srebrnym katafalku, przy którym straż pełnią kolejno: młody król, książęta, dostojnicy państwowi i wszyscy kapłani stolicy.

Podczas przeniesienia zwłok młody władca Syamu szedł w mundurze ze złotej brokateli, zasianej brylantami. Na głowie miał białą, spiczastą czapkę, również bogato dyamentami zdobioną. Przed nim niósł chorąży złotą flagę. Króla otaczali czterej mandaryni, we wspaniałych szatach, gdyż żałobę wyrażają tam przepychem. Katafalk nieśli urzędnicy państwowi, przy śpiewie kapłanów, lud zaś wykonywał najrozmaitsze tańce.

Po ustawieniu katafalku rozpoczęto żałobne nabożeństwa, które polegały na dzikich wrzaskach, tańcach i przedstawieniach teatralnych. Zakończeniem żałobnych obrzędów będzie uroczyste spalenie zwłok króla na stosie. Wówczas też dopiero wrócą normalne stosunki, a nowy władca, młody Maha Wajirawudh będzie mógł rozpocząć pracę nad rozpoczętem przez ojca swego dziełem odrodzenia i zupełnego zeuropeizowania Syamu.

Mimo bowiem usilnych starań króla Chulalongkorna, Syam jest dotąd krainą sprzeczności, gdzie obok kolei żelaznej funkcyonują wielbłądy, gdzie obok kultury europejskiej szerzą się zwyczaje pogańskie i zabobony dziwaczne. Król Chulalongkorn dokonał wiele na rzecz postępu, zyskał też sobie uznanie i wdzięczność podwładnych. Największem jego dziełem jest wzniesienie olbrzymiej i wspaniałej świątyni Wat Prakeo, gdzie przechowuje się największą relikwię, szmaragd Buddy.

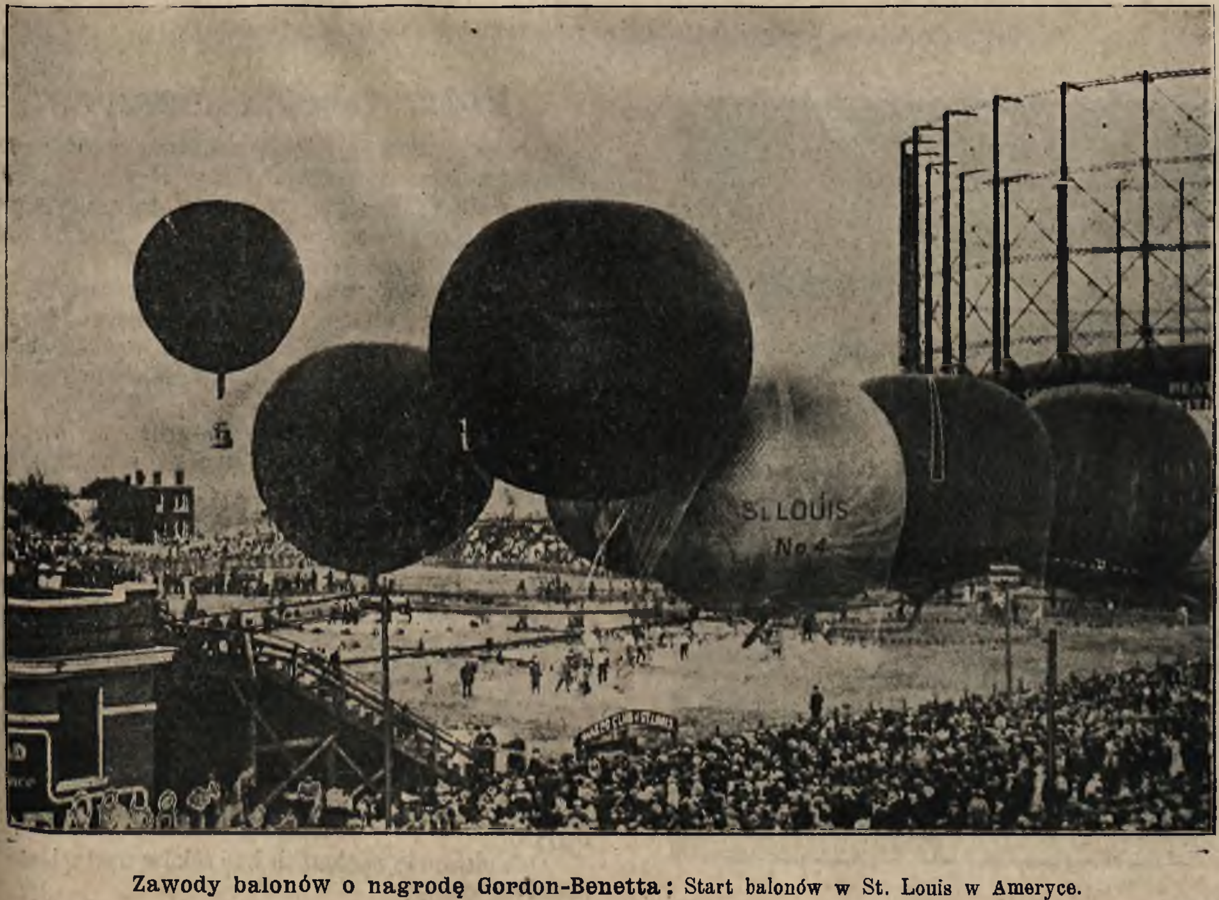
Żałoba zapanowała też w haremie królewskim, gdzie było trzy tysiące kobiet, z których jednak jedna tylko nosiła tytuł małżonki króla. Potomstwo miał Chulalongkorn bardzo liczne, gdyż 55 córek, a 45 synów. Najstarszy z nich objął osierocony tron.

Maha Wajirawudh pobierał nauki w szkole wojennej Landhurst, a potem na uniwersytecie w Oksfordzie, pod opieką syna arcybiskupa Yorku, Bazylego Thomsona. Odznaczał się inteligencyą oraz pilnością w naukach.

Młody król bawił także w innych państwach i miastach Europy, między innemi w Wiedniu. Rycina nasza przedstawia właśnie nowego króla, wychodzącego z grobów cesarskich pod kościołem Kapucynów w Wiedniu.



Wymiar sprawiedliwości w Ameryce: Publiczność w sali rozpraw sądu w Nowym Jorku.



Zawody balonów o nagrodę Gordon-Benetta: Start balonów w St. Louis w Ameryce.



Rada powiatowa w Żywcu: Nowy gmach rady powiatowej.

Zawody balonów o nagrodę Gordon-Benetta.

Coroeznie odbywają się w jesieni zawody balonów wolnych o nagrodę Gordon-Benetta, a nagroda ta przypada temu współzawodnikowi, który przeleci największą odległość.

W tym roku wyścigi te odbywały się w Ameryce w mieście St. Louis, gdyż ostatnią nagrodę zdobył Amerykanin, a jest regułą, iż zawody odbywają się w tym kraju, którego przedstawiciel zwyciężył ostatnim razem.

Do zawodów zgłosiło się 10 aeronautów, amerykańskich, angielskich, francuskich i niemieckich. Przeważna część balonów opadła w Kanadzie, a zwyciężył balon „Ameryka II.“, który przebył przestrzeń 1355 mil. Balonem tym kierował znany aeronauta amerykański Hawley.

W ten sposób po raz drugi zdobył nagrodę Gordon-Benetta Amerykanin, wobec czego i w przyszym roku zawody te odbędą się w Ameryce.

Z trzech współzawodników niemieckich, a to kapitana Abercrona, inżyniera Gericke i porucznika Vogta, dwaj uzyskali następne miejsca, a mianowicie inż. Gericke był drugi, a kapitan Abercron trzeci.

Rycina nasza przedstawia start balonów w St. Louis.

Wodociąg lizboński.

Wodociąg, czyli akwadukt, oznacza przewód kanałowy, przeznaczony ku temu, aby wodę przeprowadzić przez dolinę, drogę, rzekę i t. p., bądź w tym celu, aby zaopatrzyć w nią większe miasta, bądź aby oddalić tę wodę od pewnych budowli, n. p. linii kolejowych i uchronić je przed niebezpieczeństem zalewu. Wodociągi mogą być rozmaitego rodzaju, a to kamienne, żelazne lub drewniane.

Z najdawniejszych czasów pochodzą wodociągi kamienne. Sięgają one czasów starożytnych. Budowa ich była przeważnie podobna, a polegała na tem, iż przez pomost, oparty na wielu łukach, przechodził kamienny kanał. Tego rodzaju wodociągi budowali bardzo często Rzymianie, w celu zaopatrzenia Rzymu w wodę do picia. Po dziś dzień utrzymały się resztki wielu tych wodociągów, wskazujące na wielką ich trwałość, wskazujące też, że sztuka budownictwa stała u Rzymian bardzo wysoko.

Ruiny wodociągów znajdują się nietylko pod Rzymem, nietylko we Włoszech, ale i w innych krajach, które pozostawały niegdyś pod rządami imperatorów rzymskich, co wskazuje, że Rzymianie dbali o rozwój podbitych krajów i zaprowadzali tam wszelkie postępowe budowle. Są więc takie olbrzymie wodociągi w Hiszpanii, są w Portugalii, są we Francyi i innych krajach.

Pod Lizboną znajduje się dotąd wodociąg kamienny, pochodzący z epoki rzymskiej, a zbudowany przez cesarza Trajana około 100 r. po Chrystusie. Wodociąg ten liczy 32 łuków o 34 m. rozpiętości, a wysoki jest na 85 m.

Budowla ta prawdziwie pomnikowa stanowi po dziś dzień piękną ozdobę okolicy Lizbony, a przetrwanie przez 20 prawie wieków dowodzi nadzwyczajnie solidnej budowy.



W walce z epidemią: Oddział tępicieli myszy i szczurów w Odessie ze swą zdobyczą.



Wielka powódź na Kubie: Widok jednej z ulic Hawany w czasie powodzi.

Pożar fabryki maszyn.

Straszny pożar zniszczył niedawno znaczną część olbrzymiej fabryki maszyn firmy Henryka Lainza w Mannheimie. Fabryka ta należy do najpotężniejszych ognisk przemysłu fabrycznego niemieckiego a wyroby jej słyną w całym świecie.

Pożar wybuchł w oddziale budowy małych maszyn rolniczych, stolarni, giserni i ślusarni. Z ogromną szybkością rozszerzył się ogień na cały budynek i objął następnie wielki, czteropiętrowy gmach budowy centryfug.

Z ratunkiem pospieszyła natychmiast straż ogniowa fabryczna oraz straż miejska, a usilnym staraniom ich udało się po kilku godzinach pożar zlokalizować, mimo formalnego deszczu iskier, padających na sąsiednie budynki i straszliwego żaru, który nawet akcyę ratunkową bardzo utrudniał.

Całą noc trwał pożar, całą noc też walczyła ze strasznym wysiłkiem straż ogniowa, zanim zdołała go w zupełności opanować. Niebezpieczeństwo ustało wówczas dopiero, gdy objęte pożogą budynki runęły z okropnym hukiem.

Ruch w fabryce nie wiele ucierpi z powodu pożaru, w szczególności robotnicy, zajęci w spalonych oddziałach, znajdą zatrudnienie w innych warsztatach fabryki.

Odbudowanie spalonych budynków nastąpi w najbliższym czasie.

W walce z epidemią.

Donosiliśmy już kilkakrotnie, że cholera i dżuma nie wygasają nigdy w głębi Rosyi, od czasu do czasu występują natomiast z większem nasileniem. W miarę zbliżania się zimy epidemia słabnie, na wiosnę wzmaga się stale i porywa zwiększoną liczbę ofiar. I obecnie stwierdzić można to samo, wobec czego w Galicyi zniesiono rewizyę sanitarną, w miejscowościach granicznych niebezpieczeństwo zawleczenia bowiem cholery lub dżumy stanowczo się zmniejszyło.

Mimo to w miejscowościach nawiedzonych zarazą władze nie ustają w pracy, stosując wszelkie najnowsze urządzenia sanitarne, mające na celu przynajmniej jej powstrzymanie, jeśli nie zupełne wytępienie. Na każdym kroku napotyka się jednak na sporo trudności, ma się bowiem do czynienia z ludnością ciemną i zabobonną, która w żaden sposób nie chce się poddać zarządzeniom władzy, nie uznając, że są one skierowane dla jej dobra, ale uważając je za sekaturę. W tych warunkach ani myśleć nie można o skutecznej walce z epidemią, dlatego też pomimo zimowej pory szerzy się ona coraz dalej, choć może z nie takiem nasileniem, jak w letnich miesiącach.

W miejscowościach narażonych najbardziej na niebezpieczeństwo zawleczenia zarazy urządzono publiczne procesye błagalne, mające na celu uproszenie odwrócenia grożącego niebezpieczeństwa, brały też w nich udział tysiące pobożnych, którzy schodzili się nawet z dalekich stron. Podobne wędrówki z okolic nieraz zapowietrzonych nie są wprawdzie wskazane w czasie epidemii, przyczyniają się bowiem do rozwleczenia zarazy, nie można ich jednak powstrzymać ani im przeszkodzić ze względu na głęboką wiarę ludu, widzącego w nich skuteczniejszy środek przeciw epidemii, niż w najenergiczniejszych nawet zarządzeniach sanitarnych, które już choćby z tego tylko powodu nie odnoszą spodziewanego skutku, iż ludność wiejska prowadzi żywot nadzwyczaj niehygieniczny, a to usposabia ją tylko do ulegania chorobom zaraźliwym.

W miejscowościach portowych, np. w Odessie, dokąd codziennie przybywają setki okrętów z okolic nawiedzonych cholerą i dżumą, wzmocniono kontrolę sanitarną, którą wykonywa się w ten sposób, iż przybywający okręt czekać musi na pełnem morzu, dopóki nie przybędzie parowiec komisyi sanitarnej. Załogę i podróżnych poddaje się dokładnej obserwacyi kilkodniowej, rzeczy ich i towary gruntownej dezynfekcyi lub nawet zniszczeniu. Jeśli w czasie ściśle określonym nikt na okręcie nie zasłabnie, otrzymują przybysze pozwolenie opuszczenia pokładu i udania się na ląd stały, gdzie i nadal pozostają pod dozorem lekarskim.

Baczną także uwagę zwraca się w miejscowościach nawiedzonych cholerą, a głównie dżumą, na tępienie myszy i szczurów, uznanych za rozsadniki zarazy. Stwierdzono mianowicie, że dżuma z myszy przez pchły przenosi się na ludzi, wobec tego wypowiedziano im zaciętą walkę. W Odessie i innych miejscowościach potworzono osobne oddziały myszołapów i szczurołapów, które dziennie tępią tysiące tych niebezpiecznych gryzoniów.



W walce z epidemią: Rewizya sanitarna na pełnem morzu Parowiec komisyi sanitarnej (X) bada przybyły okręt.

Jak z tego widać, wytęża się siły celem stłumienia zarazy, wobec jednak najrozmaitszych trudności, na jakie się na każdym kroku napotyka, walka z nią jest nader utrudnioną i nie osiąga spodziewanych rezultatów.

Werbunek żołnierzy w Ameryce.

W przeciwieństwie do ogromnej większości państw europejskich, gdzie służba wojskowa jest obowiązkowa, gdzie tedy każdy młody człowiek, o ile jest zdrowy umysłowo i fizycznie, musi spłacić „podatek krwi" i odsłużyć pewien przepisany czas w szeregach armii, w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, i w innych amerykańskich państwach panuje i pod tym względem swoboda a do wojska idą ci tylko, którzy mają po temu ochotę.

Ponieważ jednak rząd Stanów Zjednoczonych potrzebuje corocznie pewnego kontyngentu rekruta, przeto stara się młodych a zdrowych ludzi zachęcić w rozmaity sposób do wstąpienia w szeregi wojskowe.

Jednym z najczęściej w tym celu stosowanych sposobów jest rozlepianie w pobliżu koszar ogromnych afiszów, przedstawiających pięknie umuudorowanych żołnierzy amerykańskich. Koło afiszów takich gromadzi się zwykle sporo młodych ludzi, mających dużo wolnego czasu a wówczas zjawiają się między nimi ajenci i w wymownych słowach kreślą rozkosze żołnierskiego życia i korzyści, jakie zawód wojskowy przynosi. Agitacya pada przeważnie na podatny grunt i niejeden młodzieniec, nie mając zajęcia i nie mogąc go znaleść, decyduje się poświęcić swe siły służbie wojskowej. Amatorów żołnierskiego życia odprowadza zaraz agent do koszar, gdzie następuje asenterunek i o ile dany kandydat posiada przepisane warunki, staje się tego samego dnia jeszcze szeregowcem, otrzymuje barwny mundur żołnierski i rozpoczyna naukę, prowadzoną w znacznie łagodniejszych warunkach, niż u nas tzw. „abrychtunek".

Na rycinie naszej widać grono młodych ludzi, obserwujących rozwieszony afisz agitacyjny i zastanawiających się nad kwestyą wstąpienia do wojska.

Tunel tramwajowy.

W wielkich miastach, gdzie ruch kołowy jest ogromnie ożywiony, gdzie dziesiątki i setki wozów, pojazdów, dorożek, samochodów zapełniają każdą ulicę, zwłaszcza ważniejsze arterye miasta, sprawa linii tramwajowych, tego tak ważnego środka komu-



Werbunek żołnierzy w Ameryce: Młodzi ludzie przed afiszami, zachęcającymi do służby wojskowej.



Zmiana tronu w Syamie: Młody władca syamski Maha Wajirawudt przed kościołem O. O. Kapucynów w Wiedniu.

nikacyjnego, przedstawia niesłychanie trudne do rozwiązania zadanie.

Z jednej bowiem strony poprowadzenie linii tramwajowych przez najbardziej ruchliwe ulice jest konieczne celem ułatwienia komunikacyi z niemi ubogiej ludności, mieszkającej w dalszych stronach miasta, z drugiej zaś liczyć się trzeba z tem, iż ruch wozów tramwajowych w ulicach ruchliwych jest bardzo utrudniony i przyczynia się do jeszcze większego rozgardyaszu w mieście.

To też zarządy tego rodzaju miast, jak Londyn, Paryż, Berlin i inne, dążą do przeprowadzenia linii tramwajowych bądź pod ziemią, bądź ponad ulicami, tworząc koleje napowietrzne na wysokości pierwszego piętra.

Przy drugim rodzaju tramwajów nasuwały się wielkie trudności z przeprowadzeniem linii przez pewne ulice, które jako gęsto zabudowane, nie pozwalały na górną linię. W takich wypadkach musiano część kamienicy, która zamykała dostęp do dalszej ulicy, demolować i przeprowadzać przez nią rodzaj tunelu tramwajowego. Tego rodzaju rozwiązanie zawiłej kwestyi linii tramwaju napowietrznego w Berlinie, przedstawia nasza rycina. Linia ta prowadzi z Berlina do Danewitz i w jednej z ulic przechodzi przez tunel, utworzony przez zburzenie części kamienicy. Oczywista rzecz, że koszt takich linii jest niesłychanie wielki, bo prócz zwyczajnych i tak bardzo wielkich kosztów samej budowy, doliczyć jeszcze trzeba koszta wykupna kamienic, przez które tramwaj taki musi przechodzić.



W walce z epidemią: Procesya błagalna o odwrócenie niebezpieczeństwa zawleczenia zarazy.



Caruso w Berlinie: Słynny tenor Caruso z dwoma agentami teatralnymi

Domniemany następca bar. Bienerhta.

W dniu 5 listopada upłynęło dwadzieścia pięć lat od chwili, gdy dzisiejszy prezydent najwyższej Izby obrachunkowej, baron Paweł Gautsch v. Frankenthurn po raz pierwszy zdobył portfel ministra oświaty. Powszechną wówczas zwróciło uwagę zamianowanie młodego dyrektora Teresianum ministrem, w polityce jednak nie dziwią nikogo podobne niespodzianki, osobniki nieraz bardzo przeciętne wybijają się na pierwszy plan dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności...

Urodzony we Wiedniu, od najmłodszych lat życia okazywał on szalony spryt i specyalną zdolność do nawiązywania stosunków towarzyskich, a gdy dodamy jeszcze do tego, iż był ładnym i eleganckim młodzieńcem, umiejącym świetnie tańczyć i prowadzić zajmującą rozmowę, że znał najrozmaitsze ciekawe historyjki z życia wiedeńskiej arystokracyi, łatwo zrozumie każdy, że otwierała się przed nim świetna karyera. Osiwiał niezmiernie wcześnie i właśnie ta siwizna, odbijająca rażąco od młodej twarzy, zwracała na niego powszechną uwagę i wyróżniała go z pośród tłumu.

Już za ministerstwa Stremayra stosunkami swymi i sprężystością wybił się na prezydyalistę. Wnet potem objął posadę dyrektora Teresianum, najbardziej arystokratycznego z pośród austryackich zakładów wychowawczo-naukowych. Wychowanków ujął po wojskowemu, co podobało się bardzo cesarzowi, potrafił sobie także zjednać życzliwość ówczesnego prezydenta ministrów hr. Taaffego, którego jedynego, a nie bardzo utalentowanego syna, otaczał bardzo troskliwą opieką. Gdy więc hr. Taaffe chciał się w listopadzie 1885 r. pozbyć ministra oświaty Conrada von Eybesfelda, wybrał na jego następcę radcę dworu Gautscha, który odtąd przez lat kilkanaście zajmował w Austryi dominujące stanowisko, piastując dwukrotnie tekę ministra oświaty i stojąc dwukrotnie na czele gabinetu.

Pierwszy jego gabinet (1897—1898) był tylko przejściowy, drugi od 31 grudnia 1904 zaznaczył się wybitniej w dziejach historyi austryackiej. Wówczas bar. Gautsch pofolgował na tle reformy wyborczej swym centralistycznym zapatrywaniom, z czasem jednak zbladła i jego gwiazda i znalazł się na etacie tak popularnych w Austryi „emerytowanych ministrów“, obejmując nadto ponownie kierownictwo najwyższej Izby obrachunkowej.

I byłby świat prawdopodobnie zapomniał o ekscelencyi, gdyby nie nader serdeczne pismo gratulacyjne, które wystosował doń cesarz Franciszek Józef, z okazyi dwudziestopięcioletniego jubileuszu i gdyby nie mowa polityczna, jaką były premier wygłosił bezpośrednio po tem w delegacyach.

Wobec tego ogólna uwaga zwraca się znów w jego stronę, liczy bowiem dopiero 59 lat żywota i bardzo łatwo może po bar. Bienercie objąć kierownictwo austryackiej wewnętrznej polityki.



Pożar fabryki maszyn: Widok zniszczonej przez pożar fabryki w Mannheimie.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

24 (Ciąg dalszy).

Lupin nie lubił pozostawać w niepewności. Pragnął definitywnej rozmowy z Dolores. W tym celu jednak potrzebował wpierw wyjaśnić kilka punktów, dla siebie niejasnych i widzieć Dondeville'a, który mu z Veldenz dość dziwaczne przysłał wieści.

Jednym tchem kazał przeto zawieść się do Veldenz. Tam zobaczył się z hrabią Waldemarem, którego pod jakimś pozorem uprosił, by odwlókł przyjazd delegatów regencyi do Bruggen. Następnie w wiadomej sobie oberży odszukał Jana Dondeville.

Dondeville zaprowadził go do innej oberży i przedstawił mu człowieka dość biednie ubranego, pana Stockli, urzędnika przy archiwach stanu cywilnego.

Rozmawiali długo. Wyszli razem i wszyscy trzej poszli do biur magistratu. O siódmej Lupin zjadł obiad i wyjechał. O dziesiątej przybył do zamku Bruggen i zapytał o Genowefę, ażeby z nią razem dostać się do pani Kesselbach.

Odpowiedziano mu, że panna Ernemont depeszą babki odwołaną została do Paryża.

— Trudno — rzekł — ale czy z panią Kesselbach mógłbym się zobaczyć?

— Pani poszła do siebie zaraz po obiedzie. Zapewne już śpi.

— Nie, gdyż widziałem światło w jej buduarze. Przyjmie mnie.

Nie czekał zresztą nawet na odpowiedź pani Kesselbach. Wszedł do buduaru zaraz za służącą, odprawił ją i rzekł do Dolores:

— Muszę z panią pomówić, bo sprawa nagląca... Niech pani mi wybaczy... Przyznaję, że zachowuję się, jak natręt... Ale pani mnie zrozumie, pewien tego jestem...

Bardzo był wzburzony i nie miał zamiaru odkładać rozmowy, zwłaszcza że zanim wszedł, zdawało mu się, iż jakiś ruch tu posłyszał.

Dolores jednak była sama. Leżała. Rzekła doń głosem zmęczonym:

— Czy nie możnaby... jutro...

Nie odpowiedział, uderzony nagle zapachem, który zadziwił go w tym buduarze kobiecym, zapachem tytoniu. Zaraz też wydało mu się, że mężczyzna jakiś musiał tu być, w chwili, gdy wchodził i że może jest jeszcze gdzieś ukryty...

Piotr Leduc? Piotr Leduc nie palił. A więc kto?

— Skończmy prędzej, proszę pana! — szepnęła Dolores.

Zdecydował się mówić, opanowując lękliwe zakłopotanie, które go ogarniało na myśl, że ktoś obcy może tu być obecnym; zaczął więc mówić bardzo cicho, tak żeby jedna tylko Dolores usłyszeć go mogła:

— Wie pani, dowiedziałem się jednej rzeczy... której nie rozumiem... a która mnie głęboko zaniepokoiła. Odpowie mi pani — nieprawdaż, Dolores?

Wymówił to imię bardzo słodko, chcąc opanować ją przyjacielską tkliwością głosu.

— Czegóż to mianowicie?

— W urzędzie stanu cywilnego w Veldenz znalazłem w księgach trzy imiona trzech ostatnich potomków rodziny Malreichów, osiadłych w Niemczech...

— Tak, już mi pan to mówił.

— Przypomina pani sobie. Otóż najpierw Raul de Malreich, lepiej znany pod przybranem nazwiskiem Altenheima, bandyta, apasz wielkoświatowy, dziś nieżyjący, zamordowany...

— Tak jest.

— Dalej Ludwik de Malreich, ten potwór, straszliwy morderca, który za parę dni ma być ścięty.

— Dalej.

— Nakoniec Izilda obłąkana. Tyle zatem wiemy, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Ale ot co! — ciągnął Lupin dalej, pochylając się nad nią — z badań, które właśnie przedsięwziąłem, wynika, że drugie z tych imion, Ludwik — a raczej ta część wiersza, na której to imię jest wpisane, uległa przedtem wyskrobywaniu. Imię „Ludwik" wpisane jest pismem świeżem i wiele świeższym atramentem, nie zatarło to jednak całkowicie tego, co tam pod spodem było napisane. Tak, że...

— Tak, że?... — powtórzyła pani Kesselbach cicho.

— Tak, że przy pomocy dobrej lupy i innych specyalnych środków, jakimi rozporządzam, mogłem odtworzyć niektóre zatarte sylaby i z całą pewnością odczytać poprzedni napis. A więc nie Ludwik Malreich jest tam zapisany, lecz...

— O nie mów pan... nie mów pan...

Złamana nagle nazbyt długiem panowaniem nad nerwami, zwinęła się teraz, kryjąc głowę w kolana i drgając kurczowo, płakała.

Lupin długo przyglądał się tej istocie nieudolnej i słabej, tak budzącej litość, tak bezbronnej... Byłby rad umilkł, byłby rad przerwał to męczące badanie, którem ją dręczył.

Jednakże dla ocalenia jej działał przecież! A chcąc ją ocalić, musiał wiedzieć prawdę, jakkolwiek by ta prawda była bolesną!

— Jaki jest powód tego fałszerstwa? — badał więc dalej.

— To mój mąż — szepnęła — to on to zrobił. Przy swoim majątku mógł wszystko przeprowadzić, więc też przed ślubem naszym przekupił urzędnika, i ten sfałszował imię drugiego dziecka...

— Imię i płeć — poddał Lupin.

— To prawda — odpowiedziała.

— To też ja się nie omyliłem — oświadczył Lupin — pierwotne, prawdziwe imię zapisane w księdze, było Dolores.

— Tak jest.

— Ale dlaczego mąż pani?...

— Pan nie rozumie? — szepnęła zapłakana, zawstydzona. Niechżeż pan tylko pomyśli... siostrą byłam Izildy obłąkanej, siostrą Altenheima, bandyty, Mąż mój, a raczej wtedy mój narzeczony, nie chciał, bym tem pozostała. Kochał mnie. I ja go kochałam, przystałam więc. Z metryk stanu cywilnego wymazał więc Dolores de Malreich, kupił mi inne papiery, inną metrykę i wyszłam za mąż w Holandyi pod innem panieńskiem nazwiskiem, jako Dolores Amonti.

Lupin zastanowił się przez chwilę, a potem rzekł, zamyślony:

— Tak... tak... rozumiem... Lecz w takim razie Ludwik de Malreich nie istnieje wogóle; morderca pani męża, morderca siostry pani i brata tak się nazywa... Jego nazwisko...

Zerwała się żywo.

— Jego nazwisko! tak, on się tak nazywa... tak, a jednak takie jest jego imię... Ludwik de Malreich... L. M... pamięta pan... Ach, niech pan nie dochodzi... to okropna tajemnica... A zresztą, o co chodzi? Winny jest tam... On jest winny... ja panu mówię... Czy bronił się, gdym ja mu oskarżenie rzuciła w oczy? Czy mógł się bronić pod tem, czy pod innem nazwiskiem?... To on... on... on mordował... on uderzał... sztylet... sztylet ze stali... Ach, gdyby wszystko można powiedzieć!... Ludwik de Malreich... Gdybym ja mogła...

Wiła się na otomanie, miotana atakiem nerwowym, a ręka jej kurczowo ściskała rękę Lupina; słyszał, jak wśród niewyraźnych słów innych, rzucała wyrazy:

— Niech mnie pan broni... niech mnie pan osłania.. Pan jeden może... Ach, niech mnie pan nie opuszcza... ja taka jestem nieszczęśliwa... Co za męka!... co za męka!... To piekło!

Ręką, którą miała wolną, z nieskończoną tkliwością pogładził jej włosy i czoło i ta pieszczota ukoiła i uspokoiła ją nieco.

I znów patrzył na nią długo, długo i pytał się w duchu, co się też kryć może poza tem pięknem, jasnem czołem, jaka tajemnica tę duszę pożera? I ona także się bała. Ale kogo? Przeciwko komu pragnęła ochrony?

I znowu stanęła mu w myśli ta czarna postać, ten Ludwik Malreich, tajemniczy i niezrozumiały wróg, którego napaści musiał odpierać, sam nie wiedząc, skąd mu grożą...

Że był w więzieniu, strzeżony dniem i nocą... to i cóż z tego! Czyż Lupin o tem nie wiedział najlepiej, że są tacy, dla których nie istnieje więzienie i którzy uwalniają się, gdy nadejdzie pora? A Ludwik Malreich do takich należał.

Tak, był tam ktoś w więzieniu, w celce skazanych na śmierć. Ale może to był wspólnik, może to była ofiara Malreicha... podczas gdy on sam, Malreich, krążył dokoła zamku Bruggen, snuł się po nocy, jak duch niewidzialny, przenikał do pawilonu w parku i nocą wznosił sztylet nad śpiącym, bezwładnym Lupinem.

I to on, Ludwik Malreich, teroryzował Dolores, groźbami ją swemi przerażał, trzymał ją w ręku za pomocą jakiejś strasznej tajemnicy i zmuszał ją do milczenia i posłuszeństwa.

I Lupin wyobrażał sobie plan nieprzyjaciela; rzucić przerażoną i drżącą Dolores w ramiona Piotra Leduc, jego, Lupina, usunąć i panować tam, zamiast niego, posługując się władzą wielkiego księcia i milionami Dolores.

— Ale w takim razie dlaczegoż mnie nie zabił tej nocy w pawilonie? Zależało to tylko od jego woli, a przecież nie chciał. Jeden ruch, a byłbym trupem. Lecz tego ruchu on nie uczynił. Dlaczego?

. . . .

Dolores otworzyła oczy, spostrzegła go i uśmiechnęła się lekko.

— Niech pan już idzie... — rzekła.

Lupin wstał, zawahał się jednak. Czy szukać nieprzyjaciela — może on się kryje za tą firanką, może za sukniami w tej szafie?

Ona jednak łagodnie powtórzyła:

— Niech pan już idzie... chciałabym spać...

Poszedł więc.

Wyszedłszy jednak, zatrzymał się pod cieniem drzew, tworzących klomb przed fasadą zameczku. Widział światło w buduarze Dolores. Potem to światło posunęło się do jej sypialnego pokoju. — W parę minut później zaległy ciemności.

Czekał. Jeżeli wróg jest tam, to może wyjdzie z zamku? Czekał w ten sposób dwie godziny.

— Niema co — pomyślał Lupin. — Albo on się ukrywa w jakim zakątku, albo też wyszedł jakiemiś drzwiami, których ja stąd nie widzę. Albo też może wszystko to razem jest tylko niedorzecznem przypuszczeniem mojem...

Zapalił papierosa i poszedł ku pawilonowi.

Zbliżając się tam, zauważył zdaleka, że jakiś cień jakby się stamtąd oddalał...

Cień ten przeszedł w poprzek alei. Przy świetle księżyca wydało się Lupinowi, że rozpoznaje czarną sylwetkę Ludwika Malreicha.

Skoczył... Cień uciekł i zniknął.

— Oczywiście — pomyślał — jutro się to powtórzy. Ale już wtedy...

IV.

Lupin wszedł do pokoju Oktawiusza, obudził go i rozkazał:

— Przygotuj automobil. Staniesz w Paryżu o szóstej rano. Zobaczysz się z Jakóbem Dondeville i powiesz mu dwie rzeczy: 1) żeby mi dostarczył wiadomości o skazanym na śmierć; 2) żeby mi przysłał, skoro tylko pocztę otworzą, następującą depeszę.

Napisał depeszę na skrawku papieru i dodał:

— Skoro tylko spełnisz to, co powiedziałem, wrócisz, ale wracaj tędy, wzdłuż ogrodzenia parku. No, jedź, ale nich się nikt nie domyśli, że ciebie niema.

Lupin wrócił do swego pokoju, nacisnął sprężynkę latarki i zaczął robić szczegółowe poszukiwania.

— Naturalnie — rzekł po chwili — on tu był tej nocy, podczas gdy ja czatowałem pod oknami. I wiadomo w jakim celu. Nie myliłem się, to zaczyna iść na gorąco... Pierwszy raz mnie oszczędzono... ale po raz drugi...

Przez ostrożność zabrał kołdrę, obrał sobie w parku miejsce ustronne i zasnął pod gołem niebem.

Około jedenastej rano Oktawiusz stawił się przed nim.

— Już, mistrzu. Telegram nadany.

— To dobrze. A Ludwik Malreich, czy jest wciąż w więzieniu?

— Jest, panie. Dondeville wczoraj przechodził koło jego celi. Właśnie stamtąd wychodził dozorca. Gadali ze sobą. Malreich zawsze ten sam, wciąż milczy, jak ryba. Czeka.

— Na co?

— Na ostateczną godzinę, wiadomo! W prefekturze mówią, że egzekucya ma się odbyć pojutrze.

— To dobrze, dobrze. Nie uciekł więc, jak się pokazuje!

Lupin już się nawet nie silił zrozumieć tę zagadkę, tak pewien był, że prawda niebawem się wyda.

Powinien już tylko wykonać swój plan, a wróg niewątpliwie wpaść musi w zasadzkę.

Był bardzo wesół, bardzo swobodny i nigdy walka nie przedstawiała mu się tak pomyślnie.

Służący z zamku przyniósł mu depeszę, którą sobie kazał przysłać z Paryża, a którą posłaniea tam oddał. Odpieczętował ją i włożył do kieszeni.

. . . .

Trochę przed dwunastą spotkał w alei Piotra Leduc.

— Szukałem cię — rzekł bez dalszych wstępów. — Zachodzą poważne okoliczności. Odpowiadaj mi szczerze. Czy od czasu, jak jesteś tutaj, zauważyłeś jakiego innego mężczyznę, oprócz służących Niemców, których tu umieściłem?

— Ależ nie. Nikogo!

— Zastanów się dobrze. Nie mówię o żadnym gościu. Ale czy niema tu nikogo, ktoby się ukrywał, o czyjej obecności byś ty wiedział — mniej nawet — czyją obecność ty byś podejrzewał, na mocy jakiejś wskazówki, a choćby tylko wrażenia?

— Nie... Ale czyby pan?...

— Tak. Ktoś się tu ukrywa... ktoś tu się snuje... Gdzie? I kto? I w jakim celu? Nie wiem... ale wiedzieć będę. Mam już swoje przypuszczenia. Ze swej strony i ty uważaj... czuwaj... ale przedewszystkiem, ani słowo o tem do pani Kesselbach... Nie trzeba jej niepokoić.

I poszedł dalej.

Piotr Leduc poruszony, wzburzony, zawrócił do zamku.

Po drodze, na brzeżku trawnika spostrzegł niebieski papierek. Podniósł go. Był to telegram, nie pognieciony, jak papier, który się wyrzuca, ale starannie złożony — zgubiony najwyraźniej.

Telegram zaadresowany był do pana Beauny. Pod tem imieniem Lupin znany był w Bruggen. Zawierał zaś te słowa:

„Znamy całą prawdę. Listowne wyjaśnienie niemożebne. Jadę dziś wieczornym. Bądź jutro rano ósma dworzec Bruggen“.

. . . .

— Doskonale! — uśmiechnął się Lupin, który z poza pobliskiego klombu obserwował Piotra Leduc. — Doskonale! Za dwie minuty ten głuptas pokaże telegram Dolores i wszystkie moje obawy jej powtórzy. Będą o tem cały dzień gadali, a tamten to posłyszy... tamten się dowie, ponieważ on wszystko wie, ponieważ on żyje w cieniu Dolores, a Dolores jest w szponach jego, jak urzeczniony ptak. A dziś w nocy on zabierze się do działania, gdyż będzie się bał tajemnicy, którą ja mam poznać.

Oddalił się, pośpiewując.

— Dziś wieczór... dziś wieczór... to będzie bal!

U drzwi pawilonu zawołał Oktawiusza, poszedł do swego pokoju, rzucił się na łóżko i rzekł:

— Siądź sobie tu na krześle Oktawiuszu i nie śpij. Twój pan musi wypocząć. Czuwaj nad nim, wierny sługo!

Przespał się zdrowo.

— Jak Napoleon przed bitwą pod Austerlitz! — rzekł, obudziwszy się.

Była to pora obiadowa. Zjadł obficie, wypalił papierosa, obejrzał broń i zmienił ładunki w obu rewolwerach.

— Suchy proch na panewce i bagnet wyostrzony! Ha... ha... Oktawiuszu!

Nadbiegł Oktawiusz.

— Idź, zjedz obiad w pałacu ze służbą. Obwieść im, że jedziesz dziś na noc do Paryża, automobilem.

— Z panem?

— Nie, sam. I jak tylko zjesz, wyjedziesz rzeczywiście, tak, żeby wszyscy widzieli. Za parkiem przystaniesz, na drodze, na pierwszym kilometrze. Tam czekaj na mnie. Długo będziesz czekał.

Wypalił jeszcze jednego papierosa, spacerował, przeszedł koło zamku, przekonał się, że się świeci w pokojach Dolores i wrócił do pawilonu. Czytał trochę, kręcił się, nareszcie o jedenastej poszedł do siebie.

Wychylił się jeszcze przez otwarte okno i odetchnął cichem, jasnem powietrzem nocy. Jakieś mętne wspomnienia cisnęły mu się do duszy, jakieś słowa miłosne, czytane lub też mówione niegdyś, tłoczyły mu się na usta i kilka razy cichutko, cichuteńko wyszeptał imię Dolores, nabożnie, tkliwie, jak młodzieniec, który imienia ukochanej nawet ciszy nocnej powierzyć nie śmie.

— Czas już — rzekł sam do siebie — czas się już przygotować.

Nie domknął okna, usunął stoliczek, stojący na drodze i schował broń pod poduszkę. Potem zaś spokojnie, bez żadnego wzruszenia położył się, ubrany do łóżka i zagasił świecę.

I zdjął go strach.

Natychmiast, zaledwie ciemności go ogarnęły, zaczął się trwożyć. Strach pełzał ku niemu w cieniu, obejmował go, szarpał.

Na zegarze wiejskim wybiła dwunasta.

Lupin rozmyślał o tem brudnem stworzeniu, które gdzieś, może o sto lub pięćdziesiąt kroków stąd, gotowało się, próbowało ostrza sztyletu.

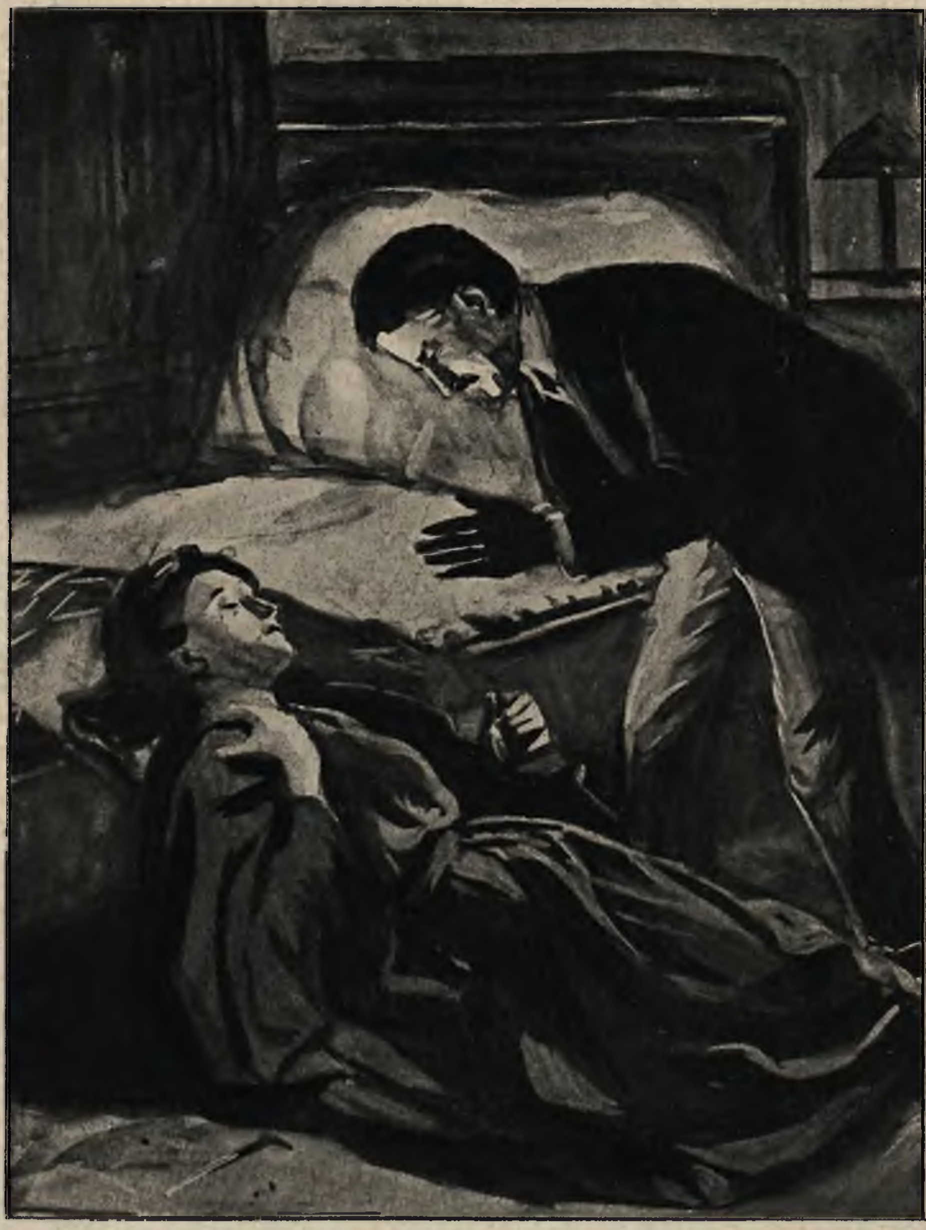
— Niechżeż już przyjdzie!... Niechżeż już raz przyjdzie! — szeptał, drżąc cały — a rozwieją się te widma!

Wybiła pierwsza.

I ciągnęły się długie minuty, nieskończone minuty, niosąc gorączkę i lęk... Krople potu spływały mu po czole, a wydawało mu się, że to krwią zlewa się cały.

Druga godzina...

I oto gdzieś, tuż w pobliżu, odezwał się cichy szelest, szelest poruszonych liści, ale nie liści, poruszonych wiatrem nocy.



Światło padło na twarz potwora... Dolores Kesselbach.

Tak, jak to Lupin przewidział, ogarnął go odrazu ogromny spokój. Zadrżała w nim radością dusza awanturnicza. Otóż i walka nareszcie!

Odezwał się inny szmer, wyraźniejszy teraz, pod oknem, ale tak słaby jeszcze, że tylko wprawne ucho Lupina dosłyszeć go mogło.

I znowu minuty całe... straszne minuty... Ciemności były zupełne. Nie rozpraszały ich ani gwiazdy, ani blask księżyca.

I nagle, choć nie usłyszał niczego, odczuł, że tamten jest w pokoju.

I że szedł ku niemu. Szedł, jak idzie duch, nie trącając powietrza, nie potrącając sprzętów. Ale całym swoim instynktem, całą mocą swoich nerwów Lupin odgadywał ruchy wroga i bieg jego myśli nawet.

Sam nie poruszał się, przyciśnięty do ściany, klęcząc prawie, gotów do skoku.

Czuł, jak cień muska go, maca posłanie, chcąc sobie zdać sprawę, w które miejsce ma uderzyć. Słyszał jego oddech. Zdawało mu się nawet, że słyszy bicie serca. I z dumą przekonywał się, że serce jego nie bije wcale mocniej, podczas gdy serce tamtego... O tak! słyszał dobrze, jak tłucze się to serce wzburzone, to serce rozszalałe — jak serce dzwonu o spiżowe boki...

Tamten wzniósł rękę... Czy bierze go na cel? Czy waha się? Czy może znowu chce oszczędzić wroga?

W tej wielkiej ciszy odezwał się głos Lupina:

— Uderz nareszcie! Czemu nie uderzasz?!

Rozległ się okrzyk wściekłości... i dziki, przeraźliwy, obłędny śmiech... śmiech, od którego temu, co słyszy, włosy powstają na głowie i serce drży przed dzikim szałem piekieł.

A potem jęk. I więcej nic...

Lupin ramię, które spadło, jak pod naciskiem sprężyny, uchwycił w samej kostce... I wyskakując z łóżka, straszny, niezmożony, chwycił tamtego za gardło i rzucił go o ziemię.

I tyle tylko... Nie było walki. Nie mogło być. Tamten leżał na ziemi, przykuty, przygwożdżony chwytem stalowych rąk Lupina. Najsilniejszy nawet nie oparłby się tym rękom.

Milczenie zupełne. Lupin nie odczuwał w tej chwili ani śladu radości próżnej, ani też uniesienia zwycięscy. Pilno mu jedynie było dowiedzieć się, kto to jest?... czy Malreich, ten skazaniec? czy może kto inny? Ale kto taki?

Nie myśląc o tem, że może zadusić człowieka, ściskał mu gardło coraz, coraz mocniej.

I poczuł, że cała siła jego wroga, cała reszta jego siły uchodzi. Muskuły ramienia rozprężyły się, bezwładne. Ręka zwolniła z kurczowego ujęcia i upuściła sztylet.

Wtedy, odzyskawszy swobodę ruchów, trzymając życie wroga w żelaznych kleszczach swych palców, Lupin drugą ręką dobył z kieszeni latarkę i nachylił ją nad wrogiem.

Nacisnął sprężynę. Suchy trzask. Światło padło na twarz potwora.

Lupin wydał ryk przerażenia.

Dolores Kesselbach!

Rozdział VII.

W głowie Lupina rozszalał się jakiś huragan, jakiś orkan; było mu, jak gdyby w łoskocie grzmotu, w porywach wichury, w burzy rozpętanych żywiołów tworzyła się noc czarna chaosu.

I wielkie, krwawe błyskawice rozdzierały cienie. I przy świetle tych błyskawic Lupin przerażony, dreszczem wstrząsany, grozą przejęty, patrzył — i starał się rozumieć.

Nie poruszył się z miejsca, przyczepiony do gardła wroga, jak gdyby stężałe palce rozprostować się nie mogły. A zresztą, choć teraz już wiedział, nie miał niejako dokładnego wrażenia, że to jest Dolores. Był to wciąż jeszcze dla niego tamten, ten czarny nieznany, Ludwik de Malreich, nieczysty potwór ciemności; i tego potwora trzymał, tego potwora puścić nie chciał... nie mógł...

Prawda jednakże szturmowała do jego mózgu i do jego świadomości, aż zwyciężony, udręczony, szepnął:

— O Dolores!... Dolores...

Odrazu ujrzał wytłómaczenie... odrazu uniewinnienie. Toż to był obłęd. Obłąkaną ona była. Siostra Altenheima i Izildy, córka ostatnich Malreichów, matki waryatki i ojca pijaka i ona sama była obłąkaną. Dziwną obłąkaną, obłąkaną z wszystkimi pozorami zdrowego rozumu, ale jednak obłąkaną, bez równowagi moralnej, chorą, zwyrodniałą, prawdziwie potworną istotą.

Zrozumiał to z całą pewnością. Był u niej obłęd zbrodniczy. Pod hypnozą celu, do którego zmierzała automatycznie, mordowała, chciwa krwi, nieświadoma, a piekielna...

Zabijała, bo czegoś chciała, zabijała w obronie własnej, zabijała, by ukryć, że zabijała...

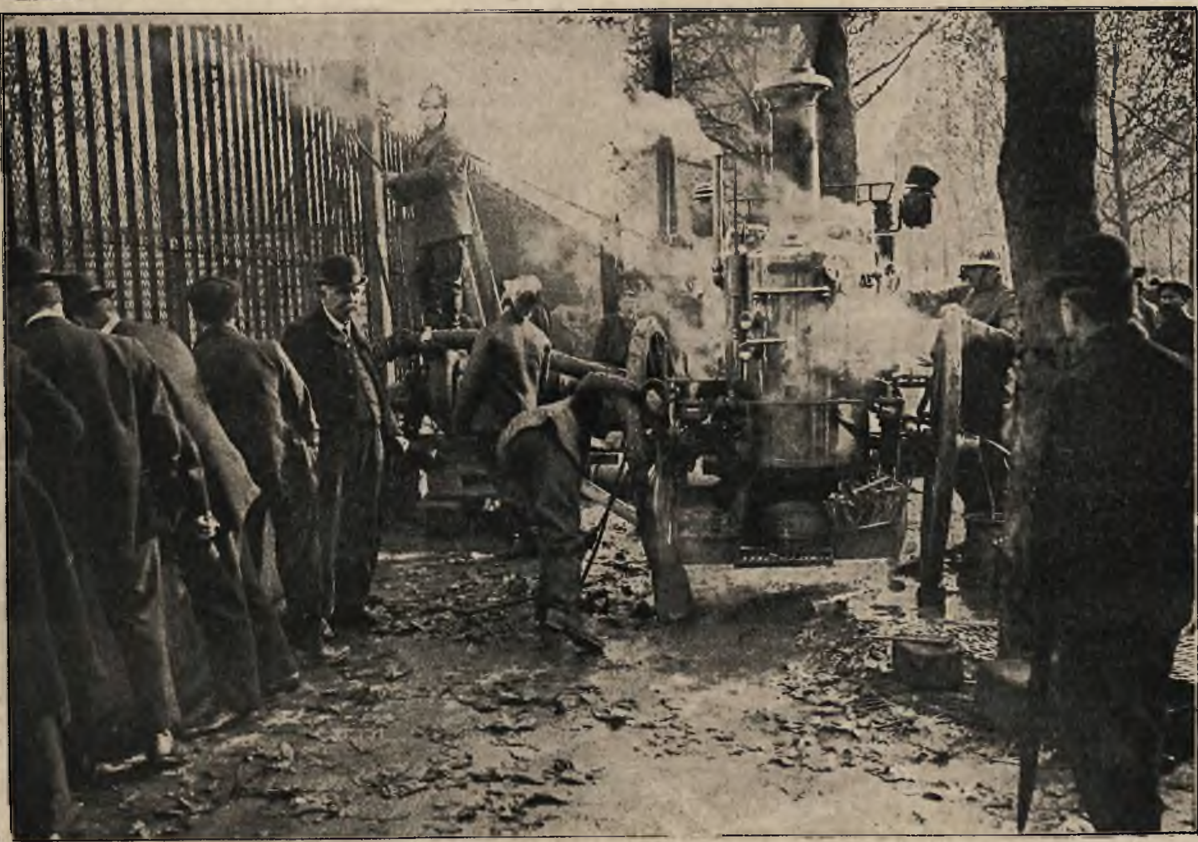
Ale zabijała także, a nawet przedewszystkiem, dla zabijania. Morderstwo nasycało w niej nagłe i nieodparte zachcenia. W pewnych chwilach życia, w pewnych okolicznościach, wobec niektórych osób, które w danej chwili stawały się wrogiem, ręka jej musiała zadawać śmiertelne ciosy.

I zadawała je, pijana szałem, z dziką zapalczywością.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zmiany w dyrekcyach kolejowych.

W ostatnich tygodniach nastąpił we wszystkich trzech galicyjskich dyrekcyach kolejowych, w Krakowie, Lwowie i Stanisławowie szereg zmian na najwyższych i najważniejszych stanowiskach.



Paryż pod wodą: Pompowanie wody przy Quai de Bercy w Paryżu.

I tak w Krakowie objął godność zastępcy dyrektora w sprawach administracyjnych po śp. nieodżałowanym radcy rządu Soleckim, dotychczasowy wicedyrektor kolei w Stanisławowie, dr. Jan Hołyński.

Wicedyrektor dr. Hołyński jest człowiekiem w sile wieku i energii, liczy bowiem lat dopiero 45. Po ukończeniu studyów prawniczych na wszechnicy lwowskiej i po uzyskaniu doktoratu, poświęcił się służbie kolejowej. Pracował naprzód przy egzekutywie, następnie jako komisarz dla wykupna gruntów przy budowie drugiego toru kolei Karola Ludwika i linii Tarnopol Ostrów-Halicz. Na stanowiskach tych zwrócił na się uwagę wybitnemi zdolnościami i nadzwyczajną sumiennością, to też już 1897 r. powołany został na zastępcę referenta spraw personalnych w dyrekcyi kolei państwowych w Lincu. Po dwu latach pobytu w Lincu, gdzie zyskał ogólne uznanie i sympatyę, powrócił do kraju z nowym awansem, bo jako naczelnik oddziału prawniczego w dyrekcyi stanisławowskiej. Tam też niedawno został zastępcą dyrektora w sprawach administracyjnych, a po kilku miesiącach został powołany w tym samym charakterze do Krakowa.



Zmiany w dyrekcyach kolejowych: Zygmunt Sas Jasiński, zastępca dyrektora kolei w sprawach technicznych, przeniesiony z Krakowa do Lwowa.

W nowym wicedyrektorze zyskuje dyrekcya krakowska urzędnika niezwykle tęgiego, znakomitego znawcę prawniczych i administracyjnych spraw kolejowych, sumiennego i sprawiedliwego przełożonego, Kraków zaś człowieka wysokiej kultury, nadzwyczaj uprzejmego i uczynnego, który w towarzyskiem życiu naszego miasta zajmie z pewnością wybitne stanowisko. W ciągu przeszło 10 letniego pobytu w Stanisławowie zyskał sobie dr. Hołyński ogólną sympatyę i życzliwość w szerokich sferach tego miasta, a zyskał ją swemi cennemi zaletami charakteru i umysłu. Nie wątpimy też, że ta sama życzliwość i sympatya towarzyszyć będzie dr. Hołyńskiemu na nowem stanowisku.

Z powołania dr. Hołyńskiego do Krakowa ciesz się zwłaszcza tutejsi muzykalni kolejarze, gdyż nowy wicedyrektor, sam wysoce utalentowany muzyk amator, otoczy z pewnością życzliwą opieką muzyczne organizacye kolejarzy krakowskich.

Witając dr. Hołyńskiego na nowem stanowisku, żegna Kraków równocześnie ustępującego stąd wicedyrektóra w sprawach technicznych, Zygmunta



Zmiany w dyrekcyach kolejowych: Dr. Jan Hołyński, zastępca dyrektora kolei w sprawach administracyjnych, przeniesiony ze Stanisławowa do Krakowa.

Sas Jasińskiego, który po kilkumiesięcznym zaledwie pobycie w Krakowie, powołany został na takie same stanowisko do Lwowa, skąd znowu dotychczasowy zastępca dyrektora, p. Stelzer, przeniesiony został do Stanisławowa, w charakterze kierownika tamtejszej dyrekcyi.

Wicedyrektor Jasiński wraca do Lwowa, gdzie spędził przeważną część swego życia, gdzie ma szerokie grono przyjaciół, pozyskanych swymi rzadkimi przymiotami, gdzie był przez szereg lat prezydentem izby inżynierskiej. Kraków traci w ustępującym stąd wicedyrektorze Jasińskim znakomitego technika i bardzo wybitnego znawcę kolejnictwa, traci człowieka wyjątkowej uprzejmości, cenionego przez wszystkich tych, którzy mieli sposobność z nim się bliżej zetknąć.



Paryż pod wodą: Łodzie pontonowe przy moście Alma pod wodą.

Kronika tygodniowa.

(Emeryci ministeryalni. — Gautsch redivivus. — Zwiastuny jego powrotu. — Będzie rekonstrukcya, czy nie. — Aleksander Macedoński. — Kwalifikacye Gautscha na ministra i czego się po nim możemy spodziewać. — Sprawy delegacyi. Brak w nich Ukraińców. — Sejm galicyjski z muzyką i bombami. — Sprawa żulińska. — W jakim świetle przedstawiają ją Rusini, a jak rzecz ma się w istocie. — Równa miarka. — Muzyka w Krakowie, czyli jak socyaliści pojmują wolność nauczania. — Szkoła nauk politycznych. — Lwów a Kraków).

Niema prawdopodobnie w Europie, a prawdopodobnie także i na całym świecie państwa, w któremby posiadano taką obfitość ministrów emerytowanych, jaką poszczycić się może nasza c. k. ojczyzna, poczciwa Austrya. Nad osobnikami, które przechodzą „w dobrze zasłużony stan spoczynku“ przechodzimy zazwyczaj z chwilą ich dymisyi do porządku dziennego, rzadko który bowiem powraca na fotel ministeryalny, są jednak i tutaj jednostki, które od czasu do czasu wynurzają się na powierzchnię, bujają krócej lub dłużej na fluktach polityki, aby znów dać nurka i utonąć w „zapomnienia fali“.

Takim mężem opatrznościowym, który kilkakrotnie już wypływał na widownię publiczną jest baron Paweł Gautsch. W dniu 5 listopada b. r. obchodził on dwudziestą piątą rocznicę pierwszego powołania na fotel ministeryalny i z tej okazyi przypomniał sobie świat byłego kierownika wewnętrznej polityki austryackiej, który dwukrotnie już ratował nawę państwową od zatonięcia, pierwszy raz po upadku gabinetu Badeniego, drugi raz po politycznym zgonie Körbera, który zgasł w kwiecie wieku na zapalenie reformy wyborczej.

W obydwu wypadkach doktorowi Gautschowi, choć jest tylko doktorem obojga prawa, powiodła się kuracya wyśmienicie, syt też laurów i sławy spoczął wreszcie w zaciszu najwyższej Izby obrachunkowej, która prócz tytułu prezydenta przyniosła mu i wcale pokaźną pensyjkę. Zdawało się, że pan baron zrezygnował już z politycznej karyery, tymczasem przypomniało go światu odręczne pismo gratulacyjne cesarskie, z okazyi jubileuszu i wielka mowa polityczna, jaką bezpośrednio potem wygłosił w delegacyach. Mężowie, mający wyrobiony węch polityczny powiadają, że coś śmierdzi w powietrzu i każą się domyślać, iż pan Paweł upatrzony jest na następcę barona Bienertha, czyli że po raz trzeci miałby zostać prezydentem austryackiego gabinetu.

Mówiono wprawdzie wiele o spodziewanej rekonstrukcyi gabinetowej, przez wakacye o niej jednak zapomniano, widoczna przecież, że coś tam piszczy w trawie! Parlament zbiera się już w krótkim czasie, sympatyczny pan minister Biliński wystąpi znów z „sympatycznymi“ projektami podatkowymi, na które Izba się nie zgodzi i gabinet się rozleci na cztery wiatry. Pan Bienerth pójdzie „pod kawki“, ma bowiem zastrzeżoną posadę namiestnikowską Dolnej Austryi, reszta kolegów, choć to zima, rozpocznie skubać zieloną trawkę i w tym zapewne celu starają się sfery miarodajne, aby te goroczna zima była łagodną. Powiększy się więc inwentarz emerytów ministeryalnych, skreśli się zaś z niego czasowo barona Gautscha, który zostanie austryackim Aleksandrem Macedońskim, mającym rozciąć węzeł gordyjski ugody czesko-niemieckiej, deficytu i sprawy kanałowej. Excelencya Biliński znajdzie także zapewne godnego siebie następcę, który snuć będzie dalej budżetowo projektową pajęczynę i cesarsko królewska ojczyzna nasza nie zginie, ale będzie dalej wegetować w spokoju.

Na prezydenta ministrów baron Gautsch posiada znakomite kwalifikacye, jest bowiem w sile wieku (liczy lat 59) jest siwy i rumiany, nosi cwikier, tańczy bardzo pięknie i umie nawiązywać stosunki, a tego nam właśnie potrzeba. To tylko najgorsze, że pan baron nie sympatyzuje z Polakami, więc nad sprawą kanałową możemy zrobić krzyżyk i zamówić dla niej nagrobek, ozdobiony naturalnie popiersiem jej mordercy, ekscelencyi ministra Rodaka. Za to na innych polach będą nasi politycy mieli tem lepszą sposobność pracowania dla dobra kraju, czekajmy więc cierpliwie, a ujrzymy owoce tej pracy, przypominające, jak wiemy z tradycyi, gruszki na wierzbie lub smaczne figi.

Przyszła sesya parlamentu zapowiada się więc ciekawie, daleko nawet ciekawiej, niż obecne posiedzenia delegacyi, z których dowiedzieliśmy się, że koniecznie potrzeba nam dreadnoughtów, bo wymaga tego powaga monarchii i życzenie sprzymierzeńca, nie należy się zaś spodziewać wypłaty odszkodowania za wybuch prochowni, bo na to brakuje funduszów. Mowa Gautscha ma być zwiastunem powrotu jego do rządów, polemika zaś Aehrenthala z Masarykiem dowodem, że sprawa serbsko chorwacka ciągle jeszcze pokutuje w przedpokojach ministrów i oczekuje na kogoś, ktoby przedłożył umiejętniej fałszowane dokumenty, niż to uczyniło poselstwo austryackie w Belgradzie. Byłby odpowiednim w tym wypadku jeden specyalista, przebywający obecnie, zdaje mi się, w Krakowie, nie brano go jednak w rachubę, gdyż po ostatnich nieporozumieniach ze sprawiedliwością wycofał się na seryo z życia publicznego. Zresztą delegacye nic nam nie zrobiły dobrego, ani złego, możemy więc zupełnie spokojnie przejść nad niemi do porządku dziennego i pozostawić historykowi obliczenie statystyczne, ile panowie delegaci zjedli politycznych obiadów i przeprowadzili takichże dyskusyi, których wynik jest jednak zawsze z góry postanowiony. Ubolewać należy, że w delegacyach niema młodych sił w guście galicyjskich Ukraińców, muzykalną swą obstrukcyą wprowadziliby bowiem pewną rozmaitość do monotonnych obrad.

Jak już poprzednio zaznaczyłem w jednej z kronik, muzykalność sejmowej obstrukcyi, urozmaicona pachnącemi bombami, systemu dra Kurowca, przyczyniła się nadzwyczajnie do ożywienia obrad galicyjskiego sejmu. Posłowie, którzy zwykle siadywali w bufecie, z ciekawości przebywali na sali, ci którzy lubili urządzać sobie „sejmową“ drzemkę, dzięki piszczałkom i odgłosom „tam-tamu“ musieli dać za wygranę. Skutków pozytywnych tej pracy dotąd nie widzimy, reforma wyborcza jest ciągle jeszcze tylko w projekcie.

Przy sposobności wzmianki o obradach sejmowych, należy wspomnieć i o tak zwanej sprawie żulińskiej, którą wrogie nam żywioły rozdmuchały do niebywałych rozmiarów, a nawet poruszyły w petersburskiej Dumie.

Według rzekomo bardzo autentycznych informacyi miało się tu do czynienia z niczem innem, tylko z „polską intrygą“, bo choć nauczyciel nazywa się Greiss, jest Wszechpolakiem, a zatem śmiertelnym wrogiem Ukrainy. W szkole w Żulinie, gdzie właśnie oboje Greissowie obcinają knoty od ukraińskich lamp mądrości, czyli innemi słowy, gdzie obydwoje pędzą zaszczytny, ale mizerny żywot nauczycieli ludowych, był uczeń, grecko katolickiego obrządku, nazwiskiem Kochańczyk, który zmarł w pierwszych dniach października. Dodać należy, że jak donoszą pisma lwowskie, była to tak zwana „kradziona dusza“, to jest ochrzczona na obrządek grecko katolicki, choć właściwie powinna być rzymską. Wiadomo jednak, że w niebiesiech większa jest radość z jednego grzesznika nawróconego, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, więc też ruscy parochowie nie zapominają o powiększeniu swej owczarni, choćby nawet wbrew przepisom prawnym i moralnym.

Otoczyli też Ukraińcy Kochańczyka swą opieką nawet i po śmierci i rozgłosili w okolicy, że Greissowie pobili chłopca śmiertelnie i skutkiem tego on umarł. Greissów, którzy znani są jako ludzie bezstronni i pracowici oraz wzorowi nauczyciele, zasuspendowano, aby zadość stało się prawu, przeprowadzono też sekcyę zwłok ś. p. Kochańczyka, która wykazała, że zmarł on na gruźlicę. Komunikat urzędowy biura korespondencyjnego ogłosił wprawdzie urzędową relacyę, iż chłopiec zmarł śmiercią naturalną, dziad jednak swoje, baba swoje. Ukraińcy postarali się, aby rozbębnić sprawę w pismach niemieckich, Starorusini doprowadzili do tego, że odbiła się echem w Petersburgu.

Kto jednak zna galicyjskich Rusinów i skwapliwość z jaką korzystają z każdej sposobności, by dokuczyć Polakom, chyba nie przypuści, by na całej sprawie był bodaj cień prawdy, gdyż w takim razie nie omieszkaliby byli posłowie ruscy poruszyć sprawę w sejmie, a jednak milczeli, jak grób. Co więcej, gdy przedstawiciel Rady szkolnej krajowej, Dębowski, złożył przed forum sejmowem sprawozdanie z urzędowych dochodzeń w tej sprawie muzyka ukraińska pod batutą pana Tymoteusza który choć Staruch się nazywa, ale jest młodzieniaszkiem z usposobienia, zagrała taką huczną fanfarę, że aż uszy bolały. Chodziło im zapewne o to, aby świat nie dowiedział się prawdy z ust przedstawiciela władzy.

Wogóle walka przy pomocy oszczerstw i fałszów jest wprawdzie nieetyczną lecz bardzo ułatwioną, a prawdziwymi w niej mistrzami są nasi stryjeczni braciszkowie z nad Pełtwi.

Powodem rzekomego pobicia Kochańczyka miało być wzbranianie się przez niego odmówienia modlitwy w szkole po polsku. biadają też pisma ruskie nad strasznym uciskiem Ukraińców, którzy skutkiem „polskiej intrygi“ nie mogą się nawet modlić w swym rodzinnym języku. Tymczasem znam, dzięki Bogu, stosunki wschodnio galicyjskie i wiem, że dzieje się tam wprost przeciwnie, Polacy odnoszą się do Rusinów z całą galanteryą, pozwalają im daleko więcej, niż się rzeczywiście należy, oni natomiast występują zawsze wrogo wobec nas. Niechby w ruskiej szkole poważył się uczeń odmówić pacierz, lub choćby odezwać się po polsku, uznanoby, że przybytek ukraińskiej wiedzy został sprofanowany, kto wie, czy nie znalazłyby się nawet fundusze na przeprowadzenie gruntownej dezynfekcyi, zdrapanie ścian i świeże ich otynkowanie. Ale braciszkowie nasi z za Sanu widzą zawsze źdźbło w cudzem oku, a zapominają o belce, która tkwi w ich narzędziu wzrokowym.

Muzykalność, niewiadomo czy uważać to za następstwo lwowskiego zjazdu muzyków, stała się u nas zaraźliwą, używa jej już bowiem w walce i nasza młodzież, jak to mieliśmy sposobność przekonać się z okazyi onegdajszej demonstracyi socyalistów i radykałów przeciw wykładowi znanego socyeloga chrześcijańskiego, ks. Zimmermanna. Trąb, czyneli i tam tamów wprawdzie nie używano, posługiwano się natomiast gwizdkami, które z trzaskiem ławek i stołków, westchnieniami akademiczek i wojennymi okrzykami zacietrzewionych polityków, składały się na bardzo melodyjną symfonię. Ma ona na żądanie ogólne powtórzoną być jeszcze raz w przyszłym tygodniu, o ile nota bene nie braknie inicyatorom energii i natchnienia.

Warto jednak zastanowić się, jak pojmują socyaliści akademicką wolność nauczania. Gdy przed kilku laty przyszła na porządek dzienny sprawa profesora Wahrmunda, któremu odebrano *veniam legendi* z powodu głoszenia teoryi sprzecznych z nauką Kościoła katolickiego, zerwała się w obozie socyalistyczno żydowsko radykalnym burza, jak kto śmie ściagać rękę na profesora uniwersytetu, wołano, że straszliwie sponiewieraną została akademicka wolność nauczania!

Cóż jednak dzieje się w kilkanaście miesięcy później? Ci sami, którzy tak gardłowali za wolnością i ronili krokodyle łzy nad krzywdą, jaką jej wyrządzono, powtarzam, ci sami, uzbrojeni w laski i gwizdki, przychodzą do sali uniwersyteckiej, aby przeszkodzić wykładowi profesora, dlatego tylko, że jest on księdzem, więc *eo ipso* nie może hołdować skrajnym zapatrywaniom.

Między jednem a drugiem wystąpieniem trudno się dopatrzyć logicznego związku, kto jednak ogląda się dziś u nas na logikę?... To mebel, szczególniej w politycznem życiu, zupełnie zbyteczny, wszak wielu z pomiędzy naszych polityków obchodzi się bez niej zupełnie dobrze, a mimo to świat uważa ich za wielkich...

Dzięki jednak Bogu zawiązało się w Krakowie Towarzystwo Szkoły nauk politycznych i odbyło walne zgromadzenie w sali Towarzystwa demokratycznego, możemy się więc spodziewać, że przyszłe pokolenie, które wyjdzie z tej uczelni, będzie politycznie wyszkolone i poprowadzi społeczeństwo tą drogą... którą należałoby omijać, tak bowiem zwykle się u nas dzieje, czy to w c. k. stolicy, tj. we Lwowie, czy w duchowej stolicy, konserwatywno-zdemokratyzowanym Krakowie. Choć oba miasta diametralnie różnią się pomiędzy sobą, na tym punkcie mają wiele stycznych, o b e r m a c h e r z y politycznі i tu i tam są rzeczywiście „krajowego wyrobu“...

X.

Zakończenie sezonu footballowego.

Rozpoczęty matchem „Cracovii“ ze znakomitą „Spartą“ z Pragi, zakończył się jesienny sezon footballowy matchem tejże „Cracovii“ z lichą wiedeńską drużyną „Victorii“. I choć ostatni ten match przyniósł zwycięstwo drużynie krakowskiej, laurów jej nie przysporzył i nic o postępie jej i rozwoju nie powiedział. Przyniósł natomiast przykry zawód ogółowi publiczności krakowskiej, interesującej się bardzo żywo ruchem sportowym naszej młodzieży, zwłaszcza zaś sportem piłki nożnej, zawód z powodu odwołania od dawna oczekiwanego z ogromnem zainteresowaniem matchu między „Cracovią“ a „Wisłą“.

Wina tego zawodu spada wyłącznie na „Cracovię“, która mając do dyspozycyi cały szereg terminów, dała pierwszeństwo wszelkiego rodzaju drużynom obcym, zamiast rozegrać match z „Wisłą“. A wówczas, kiedy match ten mógł dojść do skutku, zasłoniła się pretekstem, iż „Austryacki związek footballowy“ wykluczył „Wisłę“ za match ze „Slavią“ i nie pozwolił grać z nią żadnej drużynie związkowej. Z zakazem tym „Cracovia“ niewątpliwie liczyć się powinna. Ale po pierwsze wina „Cracovii“ leży w tem, że inkryminowany match ze „Slavią“ uprzedził spotkanie obu drużyn krakowskich, a powtóre nie ulega wątpliwości, że gdyby wydział „Cracovii“ był wywarł nacisk na „Związek“, to pozwolenie na match z „Wisłą“ byłoby nadeszło, zwłaszcza że w tym sezonie grało z obu drużynami krakowskiemi kilka klubów, nie należących do „Związku“.

Cała ta sprawa rzuca smutne bardzo światło na stosunki w krakowskim światku sportowym. Konsekwencye ciągłych nieporozumień i niesmacznych nieraz zatargów mogą się odbić fatalnie na przyszłości i jednego i drugiego klubu, a to nie byłoby chyba pożądane.

„Cracovia“ zaś, która dotychczas cieszyła się wielką sympatyą szerokich kół publiczności, sympatyę tę naraża na poważne niebezpieczeństwo, w szczególności zaś z powodu nierozegrania matchu z „Wisłą“ musi być przygotowana na zarzut, iż uczyniła to z powodu obawy o wynik spotkania. A zarzutu tego odeprzeć niczem nie może.

Najmniej zaś zwycięstwem nad „Victorią“ wiedeńską, która jako klub bardzo słaby, nie może uchodzić za poważnego przeciwnika. A i tak wynik 3 : 1, w czem jeden punkt z rzutu karnego, nie jest świetny i nie daje pojęcia o wartości gry „Cracovii“.

Niechaj jednomyślna opinia prasy i publiczności krakowskiej będzie przestrogą dla „Cracovii“ na przyszłość. Wyroki zaś obcego, bo wiedeńskiego „Verbandu“ nie będą w stanie tej opinii przekonać.

Kłopoty materyalne egzotycznego monarchy.

(Do illustracyi na str. 4.)

W Londynie bawi obecnie sułtan egzotycznego państewka, mianowicie wyspy Sulu, należącej do grupy wysp Filipińskich. Do wycieczki dalekiej, bo aż do Londynu, zniewoliły sułtana kłopoty materyalne, w jakich się jego państewko znajduje. Chcąc je ochronić przed zupełną ruiną, wybrał się sułtan ze swym wspaniałym zbiorem pereł do Anglii, aby klejnoty swe tam spieniężyć, a uzyskanymi stąd funduszami poratować finanse kraju. Perły te przedstawiają podobno wartość przeszło pół miliona koron.

Mieszkańcy wyspy Sulu i innych wysp Filipińskich, należą do rasy malajskiej, a wyznają islamizm. Niegdyś trudnili się oni zawodowo korsarstwem, obecnie jednak mocarstwa europejskie oduczyły ich tych brzydkich zwyczajów. Wyspa Suln i jej sułtan pozostaje pod protektoratem Hiszpanii.

Przyszły władca Norwegii.

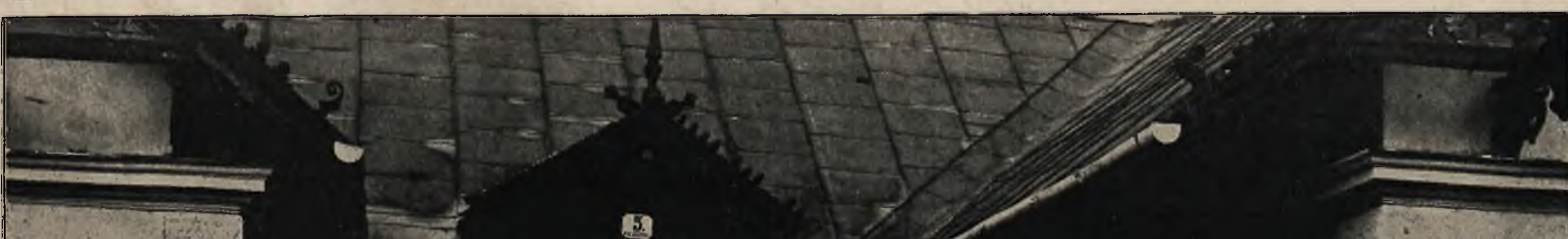
(Do illustracyi na str. 2).

W dziejach półwyspu skandynawskiego niesłychanie ważną datę stanowi r. 1905. W roku tym mianowicie oderwała się Norwegia od Szwecyi, z którą była od wielu lat połączona unią personalną. Z biegiem czasu prądy niepodległościowe stawały się w Norwegii coraz silniejsze, coraz żywsze było w narodzie norweskim pragnienie samodzielności politycznej, aż w r. 1905 na mocy jednomyślnego postanowienia przedstawicieli narodu, Norwegia oderwała się od Szwecyi, powołując na tron drugiego syna króla duńskiego Chrystiana IX., księcia Karola Chrystiana, który jako król norweski przyjął tytuł Haakona VII.

Król Haakon ożeniony jest od 1896 r. z księżniczką angielską Maud, a ze związku ich urodził



Zakończenie sezonu footballowego: Drużyna wiedeńskiej „Viktoryi“.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Z działalności T. S. L.: Grupa uczestników zjazdu delegatów czytelń ludowych T. S. L. w powiecie przemyskim.

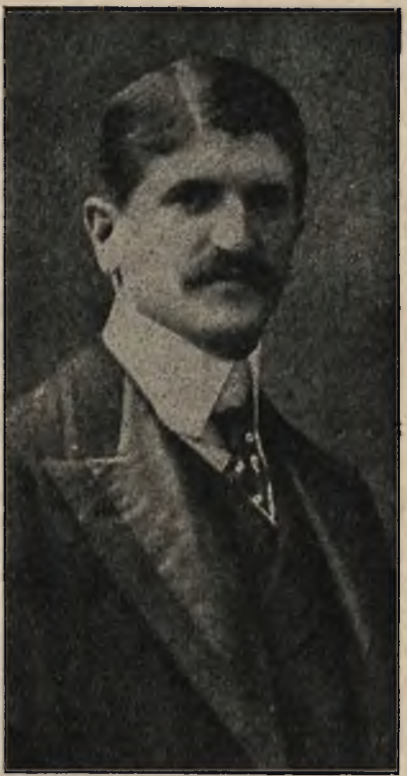
się w 1903 r. syn Aleksander Edward, jako następca tronu norweskiego noszący imię Olafa.

W gościnie u swej zamężnej córki bawi obecnie w Kopenhadze, stolicy Norwegii, królowa-wdowa angielska Aleksandra. Rycina nasza przedstawia ją właśnie w towarzystwie córki oraz siedmioletniego wnuka Olafa, przyszłego monarchy Norwegii.

Paryż pod wodą.

W ubiegłym tygodniu szalała na Atlantyku i w Europie zachodniej gwałtowna burza, która spowodowała rozbicie wielu okrętów, spowodowała wylew kilku rzek, ogółem wyrządziła olbrzymie szkody.

Między innemi miastami dotknięty został skutkami strasznej katastrofy żywiołowej i Paryż, gdzie Se-



Polemika w delegacyach: Austryacki poseł w Belgradzie hr. Forgach, obwiniony przez Masaryka o fałszerstwo dokumentów w procesie Friedjunga.

kwana wezbrała gwałtownie i w kilku miejscach wystąpiła z brzegów, zalewając ogromne przestrzenie.

Szczęściem nazwać można prawdziwem, iż burza minęła względnie szybko, dzięki czemu wody Sekwany, choć gwałtownie wezbrały, dość prędko opadły. Powódź też trwała nie długo. Mimo to szkody, wyrządzone zalewem wód Sekwany, są bardzo duże.

Z ostatniej powodzi w Paryżu zamieszczamy dziś dwa zdjęcia.

Z działalności T. S. L.

Działalność oświatowa towarzystwa „Szkoły ludowej" staje się coraz bardziej intenzywną, zatacza coraz szersze kręgi i zwłaszcza w Galicyi wschodniej oraz na zachodnich kresach stanowi nadzwyczaj doniosły czynnik kulturalny i narodowy.

Najważniejszą gałęzią różnorakiej działalności tej największej naszej i najpoważniejszej instytucyi oświatowej, jest zakładanie szkół ludowych, celem trzebienia analfabetyzmu, oraz umożliwienia polskiej dziatwie, mieszkającej wśród większości ruskiej, albo na zachodzie wśród Niemców i Czechów, naukę w języku ojczystym. I pod tym względem są zasługi T. S. L. wprost ogromne.

Bardzo ważną rolę w akcyi uświadomienia i unarodowienia mas ludowych grają też czytelnie ludowe, zakładane przez poszczególne koła po wsiach galicyjskich, gdzie choćby tylko pewien procent mieszkańców stanowią Polacy. Czytelnie ludowe T. S. L., posiadające dobrze zaopatrzone księgozbiory, oraz pisma polskie, stają się zwykle ogniskiem życia towarzyskiego w i, przyczyniają się też istotnie do podniesienia poziomu cywilizacyjnego wśród polskiego ludu. Zależy to w znacznej mierze od kierownictwa czytelń, które powinno mieszkańców wsi zachęcać do korzystania z czytelń i do spędzania w nich każdej wolnej chwili.

Celem udzielania sobie wzajemnych uwag, celem dzielenia się doświadczeniami, odbywają się w pewnych odstępach czasu zebrania delegatów czytelń, utrzymywanych przez Koła T. S. L. w rozmaitych stronach kraju, a ostatni taki zjazd powiatowy odbył się w Przemyślu, gdzie zebrało się przeszło 60 osób z wielu wsi powiatu przemyskiego. Tematem obrad było prowadzenie czytelń włościańskich, a doskonały referat w tej sprawie wygłosił ks. proboszcz Dziedzic, poczem toczyła się żywa dyskusya.

Ze zjazdu tego zamieszczamy rycinę, przedstawiającą grupę uczestników zebrania.

Ochrona młodzieży przed gruźlicą.

W walce z gruźlicą jest dziś dążnością nauki lekarskiej zakładać sanatorya, celem leczenia tej strasznej choroby środkami klimatyczno-dyetetycznymi.

Za przykładem „Pomocy Bratniej" w Zakopanem, założył dr. Rudolf Hammerschlag, lekarz zdrojowy w Szczawnicy, w r. 1905 Towarzystwo pomocy dla uczącej się chorej, ubogiej młodzieży żydowskiej „Nadzieja". Towarzystwo to utrzymuje się na razie wyłącznie z wkładek członków i drobnych zapomóg kilku instytucyi prywatnych.

Towarzystwo „Nadzieja" działa więc już od pięciu lat, pomieszczając w swoim zakładzie w Szczawnicy kilkunastu chorych na gruźlicę studentów ze szkół średnich i wyższych.

Zakład w Szczawnicy, w stosunku do skąpych środków materyalnych, jakimi rozporządza, urządzony jest wzorowo. Oprócz sali jadalnej wspólnej, pokoju ordynacyjnego, mieszkania dla zarządu i służby, jest sześć pokoi obszernych, jasnych dla chorych samych; kuchnię prowadzi się we własnym zarządzie.

Nadzór nad zakładem, administracya i opieka lekarska jest w ręku dra Rudolfa Hammerschlaga, założyciela sanatoryum.

Zarząd główny Towarzystwa „Nadzieja" jest w Krakowie, a prezesem jego jest dr. Jan Landau.

Pojedynek polityczny.

Ludność krajów bałkańskich jest więcej krewkiego usposobienia niż mieszkańcy dalej ku północy wysuniętych okolic Europy, w walce politycznej bierze też daleko żywny udział, niż dzieje się to na przykład u nas. Najsmutniejszym jednak objawem rozpolitykowania jest fakt, że w agitacyach biorą udział i członkowie armii, którzy z zasady powinni się od nich trzymać zdala. Czytaliśmy w dziennikach o terrorze ligi wojskowej w Grecyi, która o mało nie doprowadziła do rewolucyi, wszystkich oburzyła wiadomość o niesubordynacyi oficerów serbskich, którzy bez zezwolenia swych przełożonych zjechali się swojego czasu w Belgradzie z okazyi zasłabnięcia księcia Aleksandra. Armia, w której oficerowie i żołnierze zaczynają bawić się w politykę, mijają się ze swem zadaniem.

Prócz tych objawów walki politycznej, o których dochodzą do nas wiadomości, jest daleko więcej drobniejszych sprzeczek i starć na tle politycznem, nad któremi przechodzi się do porządku dziennego, nie powinno się ich jednak lekceważyć, choćby tylko z tego powodu, że świadczą o fermencie, działającym w szeregach armii.

Illustracya, którą zamieszczamy w bieżącym numerze, przedstawia pojedynek dwu oficerów bułgarskich, wynikły z różnicy ich zapatrywań politycznych. Rzecz dzieje się na granicy macedońskiej, więc w miejscu najbardziej narażonem na walki, polityczne, od których oficerowie powinni się trzymać zdala.

Polemika w delegacyach.

Pojedynek, wprawdzie tylko na słowa, odbył się na piątkowem posiedzeniu delegacyi austryackich pomiędzy ministrem spraw zagranicznych hr. Aehrenthalem, a znanym historykiem czeskim, profesorem Masarykiem.

Ten ostatni zarzucił publicznie, że dokumenty, które przedłożono swojego czasu w procesie Friedjunga zostały sfałszowane, a bezpośredni udział w fałszerstwie brał austryacki poseł w Belgradzie hr. Forgach, który wspólnie z urzędnikami poselstwa Świętochowskim i Tiefenbachem miał bezpośrednio stosunki z osławionym Wassiczem.

Tak silny i bezpośredni atak wyprowadził hr. Aehrenthala zupełnie z równowagi, z politycznego tego pojedynku mógłby był wyjść nieco pomyślniej niż to się stało, gdyby posiadał łatwość swobodnego przemawiania publicznie bez przygotowania. Tak jednak nie jest!

Hr. Aehrenthal nie wiedział, co ma z sobą począć, a ten stan jego zauważyli obecni na sali urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych, pospieszyli więc do niego i zaczęli podszeptywać rozmaite uwagi, a podkomorzy hr. Szapary formalnie dyktował odpowiedź swemu przełożonemu. Wreszcie nabrawszy animuszu, wyksztusił hr. Aehrental z irytacyą:

— Hr. Forgach nigdy nie miał stosunków z tym człowiekiem!

Odpowiedź zbyt lakoniczna i gołosłowne zaprzeczenie faktu, nie zakończyły definitywnie sprawy fałszerstwa dokumentów w procesie Friedjunga. Minister ani sobie ani państwu nie oddał tem przysługi, powinien był powiedzieć wszystko, co wie o danej sprawie, tembardziej, że prof. Masaryk publicznie zobowiązał się zaprodukować dokumenty,



Polemika w delegacyach: Członek austryackiej delegacyi, znany historyk czeski prof. Masaryk.

z których wynika niezbicie wina urzędników poselstwa Świętochowskiego i Tiefenbacha, którzy dokumenty fałszowali. Hr. Aehrenthal zaprzeczył, jakoby Forgach miał stosunki z Wassiczem, innym natomiast twierdzeniom nie śmiał zaprzeczyć, stąd też wniosek, logiczny, że Masaryk powiedział prawdę.

Zdaniem wielu, hr. Aehrenthal daleko trafniej byłby postąpił, gdyby się był przyznał, że i on i jego urzędnicy, działając w dobrej wierze, padli jednak ofiarą oszustwa. Takie przygody zdarzają się nawet mądrym ministrom, sposób zaś, w jaki on pokierował sprawą, pozostawia nieprzyjemne uczucie niejasności, otwiera szeroko wrota kompromitującym domysłom i oddaje go na łaskę i niełaskę rządu serbskiego, który na podstawie dokładnej znajomości faktycznego stanu rzeczy grozić może hr. Aehrenthalowi wielce nieprzyjemnemi rewelacyami.

Głosy publiczne.

Cyrk Edison Atrakcyą programu od piątku 18 do czwartku 24 bm. będą obrazy p. t. Fouquet, czyli człowiek z żelazną maską, dramat historyczny z czasów panowania Ludwika XIV. Wspaniałe artystyczne zdjęcie, grane przez pierwszorzędnych artystów Teatru Renaissance w Paryżu. Koniec panowania Lincolna — epizod z historyi Stanów Zjednoczonych artystyczne zdjęcie, grane przez pana Revet, i pana Desfantaines, pierwszorzędnych artystów Teatru Gymnase w Paryżu. Reszta programu składa się z zdjęć o treści przeważnie humorystycznej.

Z półek księgarskich.

Hedda Działosza Hinczówna: Siostra Irena, (Nowela) Wiersze.

Skład główny w księgarni D. E. Friedleina Kraków 1910.

Dwie wytworne książeczki, pełne smutku i żalu do świata. Biedna siostra miłosierdzia Irena pokochała sercem młodego, niedoświadczonego dziewczęcia mężczyznę, co burzliwie przeżył młodość, rzucał się — jak sam mówi — w najszaleńsze, najna-

miętniejsze wiry. Stanął na przełomie i słaby i chwiejny czekał na sło o zbawienia z ust młodej Reni. Niestety — Renia nie miała odwagi wyznać mu swojego uczucia zniszczyła szczęście swoje i jego. On popędził w świat na nowe przygody — ona przybrała kornet szarytki. Po kilku latach spotykają się — niestety zapóźno — nie zdołają wrócić zniszczonego życia zabiegi lekarza i opieka szarytki Ireny. Ukochany człowiek kona w objęciach zakonnicy. Historya podana w formie dziennika odznacza się prostotą i wytwornością języka.

Te same zalety cechują zbiorek p. t. „Wiersze“. *S. K.*

Rozwiązanie zagadek z Nr. 45.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Stachura Sanok, W. Ostrowski Sambor, J. Gryziecki Kraków, H. Link Lwów, M. Ciszewska Stanisławów, H. Olpiński Lwów, J. Tokarski Jasło, J. Lipiński Warszawa, W. Potocka Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Hillenbrand Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów. R. Knapik Kraków, J. Cichocki Chyrów. J. Nowacki Przemyśl, M. Piątek Gródek, M. Kozłowski Sanok, F. Stankiewicz Petersburg, M. Trzeciak Jasło, W. Lisowski Kołomyja, J. Rost Lwów, H. Zybura Kraków, J. Held Lwów. M. Żebrowski Warszawa, S. Gralewski Płock, W. Thun Kozłów, H. Malczewski Kraków, J. Gawronski Stanisławów, A. Maciejowska Lwów, H. Zielińska Nowy Sącz, T. Rogoziński Krakow, J. Świrski Kołomyja, T. Kwaśniewski Sambor, W. Bandrowski Proszowice, G. Rogowski Piotrków, M. Rybicka Częstochowa, J. Jaworski Zakopane, T. Czyżowski Zakopane, H. Koturba Lwów, J. Stugocki Krosno, H. Kubin Rozwadów, R. Fiola Tarnobrzeg. H. Ehrenberg Sambor, W. Eberhardt Wiedeń, J. Bieńkowski Wiedeń, M. Dziedzicka Lwów, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, J. Łopatkiewicz Warszawa, S. Bukowski Zakopane, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Pankowski Zakopane, J. Trepka Kraków, M. Silbermann Jasło, W. Tabaczyński Sambor, J. Jodłowski Kamieniec Podolski, M. Lewicka Jasło, S. Wilczkiewicz Lwów, J. Radomska Kraków, H. Pick Warszawa, J. Sztolcman Warszawa, M. Kalinowska Piotrków, M. Więckowska Kijów, J. Winkowski Tarnów, K. Jahoda Cieszyn, W. Bertrand Radziwiłłów, K. Przeździecka Częstochowa, J. Nowak Lwów, W. Lichański Stary Sącz. J. Baziak Tarnów. M. Borowska Rzeszów, W. Klippholz Rzeszow, K. Łuczko Sandomierz, W. Tomasik Kraków. J. Oborski Kraków, J. Czapski Wiedeń, J. Branicki Mińsk. H. Nawrocka Tarnopol, A. Balicki Stanisławów, J. Engelberg Rzeszów, C. Wang Tarnobrzeg, J. Ohrenstein Tarnów, M. Lindenbaum Czerniowce, K. Armatys Kraków, J. Czarkowski Sambor, H. Zachara Jasło, J. Wyka Limanowa, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, K. Kaim Kraków, W. Nowacki Zbydniów, M. Serbeńska Budzanów, M. Ollingerówna Skała, K. Stanirowski Skała, K. Turecka Tarnopol, E. Bogdalska Koropuż, B. Rzepecki Borysław, S. Faliszewski Baligród, S. Mildwurm Przemyśl, S. Abraham Lwów, K. Fuchs Czeremchów, A. Piwko Warszawa. Z. Boulangé Gawłówek, M. Ząbierzewska Kraków, J. Fingerer Stryj, J. Błoniarz Kraków, K. Jurkiewicz Gwoździec.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **H. Koturba, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Łamigłówka:

Port
fara
niwa
grób
arfa
Emil
czek
miłe
ropa
staw
Bełz
Amor
arka
skiz
york
stal
ikra
pani

Szarada: Błogosławieni.

Arytmograf:

W	i	s	ł	a
	C	ł	o	
S	ł	o	w	o
	I	w	o	
O	ł	a	w	a
W	a	e	i	o
	O	k	a	
	C	i	s	

Szarada: Jesień.

Zadanie do przestawienia: Habit nie stanowi mnicha.

Rebus: Zapraszamy do przedpłaty na Nowości Ilustrowane.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

34

— Tak, ale pani dobrze zarabia...

— Im więcej ja zarobię, tem więcej mąż mój wyda.

— Mąż jest mężem. Lecz co pani powie, jeżeli mąż pani córki wyrzuca panią za drzwi?... A to mnie się zdarzyło, pani Blaisch...

Z łokciami opartymi na stole, z głowami pochylonemi nad filiżankami kawy, gawędziły z sobą z takiem zajęciem, iż nie słyszały wcale, jak drzwi od mieszkania zwolna się otwierają i lekko się zamykają. Wychodziła Ludwika.

Młoda panna ubrała się i obawiając się, by pielęgniarka nie sprzeciwiała się znowu jej wyjściu, wymknęła się po cichu. Nie mogła opanować się. Chciała koniecznie dowiedzieć się, co się dzieje z Piotrem i co znaczy jego milczenie. Nieszczęśliwy zawrót głowy, jakiego doznała niespodzianie u pana Duponta, przeszkodził jej uczynić to wcześniej. Obecnie Ludwika czuła się już lepiej i powzięła śmiałe postanowienie... Jeżeli to będzie koniecznem, pójdzie nawet do Cartelegue'ów.

Trzymając się ręką poręczy, zeszła wolno z trzeciego piętra. Nogi się jeszcze pod nią uginały i w głowie czuła szum. Po wyjściu na ulicę pociemniało jej w oczach. Minęło to jednak zaraz i młoda prasowaczka mogła iść. Z trudem, przystając po drodze, dowlekła się wreszcie na ulicę Laugier. Brakło jej prawie głosu, gdy pytała matki Ladroule:

— Czy niema dla mnie listu?... Nikt nie był?

— Niema listu... gul, gul, gul — odpowiedziała stróżka. — Lecz byli wczoraj... gul, gul... wieczorem panowie... Chcieli... gul... panią widzieć...

— Ach!

— Pani wyszła... Powiedziałam im to... gul...

Matce Ladroule istotnie zdawało się, że to powiedziała. Lecz miała tylko ten zamiar. Nie mogła bowiem wykrztusić z siebie żadnego zrozumiałego słowa.

— Poszli więc — bełkotała dalej — do pralni... gul, gul, gul...

— Dziękuję bardzo.

Ludwika pośpieszyła do pralni. Pani Lambert na razie była nieobecna. Korzystały z tego jej pracownice. Żelazka posuwały się wolno. Natomiast języki obracały się szybko. Rozmowa, ma się rozumieć, szła o Ludwice. Gdy niespodzianie ukazała się młoda panna, nastąpiło milczenie. Potem powstał hałas ogólny i wszystkie jednocześnie zaczęły mówić.

— Już? — zawołała Berta.

— Gdzie byłaś? — zapytała Helena.

— Jaką ma zbiedzoną minę! — zauważyła gruba Leontyna.

A wielka Julia zawołała swym ochrypłym głosem:

— Cóż? Miłość wywróciła się już do góry nogami i dyabli ją wzięli?

— Czyż można wreszcie dowiedzieć się, kto to był ten fagas, który odniósł twój koszyk i dał od ciebie właścicielce czterdzieści franków — zapytała znowu Berta, zanim Ludwika zdołała choć słowo powiedzieć.

— Jakto? — szepnęła wreszcie młoda panna oszołomiona tym potokiem słów.

— Tak... Prosty jak słup i wygalowany od stóp do głowy.

— I który dał ode mnie czterdzieści franków?

— Tak...

— Nie znam go... Nikomu nie dawałam takich zleceń.

Znowu powstał ogólny krzyk.

— Napróżno okrywasz się tajemnicą!

— Dał te pieniądze przy nas!

Ludwika odpowiedziała:

— Pan Dupont powiedział mi, że przyśle uprzedzić panią Lambert...

— Acha! — przerwała Berta. — Pojechałaś więc razem z klijentem?

— Nigdzie nie wyjeżdżałam... Byłam chora...

— Chora?... Och! och! — zawołały razem.

Julia dodała:

— Nie potrzebujesz nam mydlić oczów!

Ludwika nie wiedziała, czy już się obudziła... czy też zaczyna się na nowo ten przykry sen z nocy...

— Nie rozumiem — szeptała. — Powiedzcie mi jednak, czy nikt się o mnie nie pytał?

— Ach! to inna sprawa! — odpowiedziała Berta. — Wczoraj wieczorem, gdyśmy miały odchodzić, zjawiło się dwóch panów!

— Dwóch panów tak szykownych, iż mogą mieć po dziesięciu takich lokai, jak ten, co tu był! dodała Julia. — Dobre wybierasz sobie towarzystwo!

— Pewnie się z nimi nie nudzisz! — dopowiedziała gruba Leontyna.

— Przeszli razem z matką Lambert do tego pokoju — mówiła dalej Berta. — Podsłuchiwałyśmy jednak i patrzyłyśmy przez dziurkę od klucza.

— Była to jednak wizyta dla panny Dubois — przerywała Julia. — Panowie ci chcieli widzieć tylko pannę Dubois...

— Matka Lambert — opowiadała w dalszym ciągu Berta — powiedziała im, żeś właśnie odesłała dwa luidory przez lokaja, który oznajmił, że już nie powrócisz... Starszy, wysoki i suchy, jak wiór, prosił, bym mu opisała tego lokaja... Potem zawołał: „To służący...“

Prasowaczka przerwała, by zapytać swych koleżanek:

— Jakie imię on wymienił?

— Roman — rzekła Helena.

— Nie... Karol... — poprawiła Julia.

— Tak! Karola Turnera! — przyznała Berta.— Wtedy młodszy, przystojny blondyn powiedział: „A więc z Karolem Turnerem miała rano rendez vous przed dworcem Cowicelles!“

— A co? — rzekła Julia. — Widzisz, że więcej wiemy, niż ci się zdaje.

— Ja — odezwała się gruba Leontyna — nic z tego wszystkiego nie rozumiem. W każdym jednak razie, jeżeli zajmują się tobą tacy eleganci, to ci źle nie jest.

— Z pewnością! — potwierdziła Julia, która nie chcąc okazać swej zazdrości, pokrywała ją niezwykłą u niej uprzejmością.

Berta, czytelniczka romansów, zakończyła:

— Mogę powiedzieć, że przeczytałam teraz jeden rozdział ciekawej powieści.

Ludwika już nie słuchała. Tak jak poprzednio po wizycie Piotra zdawało jej się, że w mózgu wszystko jej się rusza, że czoło pęka... Jak wczorajszego dnia po przybyciu do pana Duponta głowę miała jakby ściśniętą żelaznemi obręczami i nie wiedziała, co się dokoła niej dzieje... tak i teraz myślała, że zaraz zemdleje. Nie było to jednak omdlenie. W chwilę potem szła już szybko przez ulicę Laugier. Wyszła z pralni i z domu, nie wiedząc nawet kiedy. I nie spostrzegając tego, rozmawiała z sobą głośno:

— Muszę iść do niego.

Po przybyciu jednak na bulwar Gaurion-Saint-Cyr zatrzymała się nagle.

— A jego rodzice?... — pomyślała. — Lepiej zatelegrafować do niego.

Ruszyła znowu, by zajść na pocztę. Najbliższe biuro pocztowe było na ulicy Bayen. Odegrało ono smutną rolę w jej życiu. Lękała się tam pisać. Postanowiła iść do drugiego biura na avenue Grand-Armée, do którego zwykle chodziła. Przeszła przez ulicę Laugier aż do bulwaru Pereire, skręciła na prawo, następnie weszła na ulicę Guersant i znalazła się znowu na bulwarze Gaurion Saint Cyr. Skręciła jeszcze na prawo i powróciła do miejsca, z którego wyszła. Zatrzymała się.

— Gdzież jestem? — zapytała się.

I znowu zagłębiła się w labirynt uliczek i szła długo. W dzielnicy tej nie było prawie domu, któregoby nie znała, obecnie jednak nie poznawała żadnego. Nie wiedziała nawet na pewno, czy je widzi. Śniła obudzona, a sen jej obejmował wszystko. Wyśnione osoby w umyśle jej mieszały się z temi, które przechodziły dokoła niej. Nagle stanęła znowu. Znalazła się przed dworcem Cowicelles. Zaprowadził ją tam przypadek. Narazie nie szukała już biura pocztowego. Myśl o pisaniu odbiegła od niej daleko. Tym razem wiedziała, gdzie jest. Spojrzała bezwiednie na zegar i ujrzawszy godzinę nie tę, którą naznaczyła na spotkanie, rzekła głośno:

— On przyjdzie.

Zaczęła czekać. Policyant, którego posterunek znajdował się w pobliżu, zauważył tę młodą pannę, rozmawiającą z sobą głośno. Obserwował ją. Ludwika prowadziła w dalszym ciągu swą rozmowę z niewidzialną osobą. Wreszcie policyant, domyślając się, z kim ma do czynienia, podszedł do niej i zapytał:

— Pani czeka na kogo?

Młoda panna spojrzała na niego zamglonemi oczami i mruknęła coś niewyraźnie.

— Gdzie pani mieszka? — pytał znowu policyant.

Zrozumiała pytanie i chciała na nie odpowiedzieć, nie mogła jednak przypomnieć sobie swego adresu.

— Proszę iść ze mną.

Policyant dał znak przejeżdżającej dorożce, do której Ludwika siadła zaraz bez żadnego oporu. Dorożka miała na szczęście jakąś łączność z jej myślami.

W pięć minut potem komisarz policyjny XVII dzielnicy stwierdził, że młoda panna nie ma przy sobie żadnego dowodu, z którego możnaby dowiedzieć się, kim ona jest. Urzędnik pokiwał z litością głową przed tą łagodną, bladą twarzą o wielkich, obłąkanych oczach i rozkazał:

— Do głównej lecznicy!

XXIV.

Podczas, gdy Ludwikę wprowadzano do komisaryatu, Panajon szedł wesoło pod arkadami ulicy Rivoli. Wracał z Tuilleries Palace, gdzie sam na sam z Ewą wypił poranną czekoladę. Niebo było błękitne i wróble w ogrodzie, rozgrzane ciepłem słonecznem, świergotały radośnie, goniąc się wzajemnie.

„Jeszcze piękniej musi być na wsi — pomyślał złodziej. — Baronowa ma szczęście!“

Już osiemnaście godzin upłynęło od chwili, jak pani de Lagunan została więźniem.

„Jak ta miła dama spędziła pierwszą noc? — rozmawiał z sobą Panajon. — Muszę odwiedzić ją. Jeszcze jest za wcześnie... Nie można zjawiać się u ludzi o wschodzie słońca... A przytem winienem naprzód udać się na avenue Ternes... Tam mogę przybyć o każdej porze... Nie składam wizyty człowieka światowego, lecz lekarską...“

Złodziej zatrzymał się. Był na końcu arkad.

— Hop! — zawołał, podnosząc laskę.

Samochód podjechał do chodnika. Był to jego pojazd, który jechał za nim od Tuileries Palace, gdzie długo czekał przed bramą hotelu. Pana-

jon chciał mieć samochód na każde żądanie. Od wczesnego też ranka szofer oczekiwał na ulicy Rivoli na zjawienie się swego pana. I teraz, gdy złodziej spacerował, samochód jechał tuż obok niego. Fałszywy Australczyk umiał rozkazywać. Ci, którzy mu służyli, nie skarżyli się na niego, o ile bowiem był wymagający, o tyle był i szczodrym.

— Avenue Ternes 44!

— Słucham pana!

I samochód ruszył szybko z miejsca przez plac Zgody.

W kilka minut później złodziej dzwonił do drzwi pana Duponta. Otworzyła mu je posługaczka. Miała przestraszoną minę, czego mniemany lekarz z początku nie zauważył.

— Gdzie jest pielęgniarka?

Panajon był tu jak u siebie. Natychmiast zjawiła się infirmierka, lecz i ona miała zakłopotaną minę.

— Pan Dupont? — spytała.

— Nie — odpowiedział Panajon. — Jestem lekarzem... doktór Durand.

I mruknął pod nosem.

„Jakie to dziwne! Doktór Durand leczy pannę Dubois u pana Duponta!...“

— Panie doktorze — jąkała się pielęgniarka.— Chora...

— Czy dobrze spała?

— Dobrze. Ale...

— Co takiego? — rzekł fałszywy lekarz, przechodząc z przedpokoju do salonu.

— Wstała...

— Ach! A ja zaleciłem zupełny wypoczynek!

— I wyszła! — dokończyła pielęgniarka.

Panajon, który otwierał już drzwi do sypialni, obrócił się w mgnieniu oka.

— Wyszła? — zawołał. — Dlaczego?... Kiedy?... Jak?...

— Przed pół godziną, byłam w kuchni razem z panią — odpowiedziała pielęgniarka, wskazując na posługaczkę. — Jadłyśmy śniadanie... Drzwi były otwarte... Nagle zdało mi się, że słyszę w pokoju jakiś szmer... Nie zwróciłam z początku na to uwagi, a gdy w chwilę potem weszłyśmy do sypialni, chorej już nie było!...

— Och!...

Panajon tupał z gniewu nogą.

— Zbiegłyśmy zaraz na dół... Szukałyśmy w mieszkaniu... Nie wiedziałyśmy, co robić...

— Już od dwudziestu pięciu lat jestem lekarzem — przerwał złodziej — a nigdy nie spotkałem się jeszcze z taką niedbałością! Dyrektorka zakładu będzie mnie pamiętała.

I wyszedł szybko z salonu, zostawiając przestraszoną pielęgniarkę.

Palacz, gdy ujrzał swego pana, domyślił się odrazu, iż musi jechać prędko a ostrożnie, by nie zawadzić o jaki wóz, lub nie przejechać kogo. Widać było, iż Karol Turner jest w strasznym niehumorze.

— Ulica Laugier 54! — rozkazał.

I drzwiczki zatrzasły się z hałasem.

Gniew Panajonowi zdarzał się nie tylko rzadko, lecz i trwał krótko. Gdy złodziej dojechał do pralni, był już w swem zwykłem, pogodnem usposobieniu. Z raportów ajentów znał już rozkład domu, w którym stróżowała matka Ladroule. Udał się wprost do pralni i otworzył drzwi.

Na widok tak eleganckiego gościa, pani Lambert i jej pracownice zatrzymały jednocześnie żelazka i czekały z zapartym oddechem. Nikt nie wątpił, że tutaj chodzi jeszcze o Ludwikę.

— Przepraszam! — rzekł złodziej, uchylając lśniącego cylindra. — Czy jest panna Dubois?

— Właśnie była i już wyszła, proszę pana — odpowiedziała właścicielka.

— A czy nie wie pani, dokąd poszła?

— Nie, proszę pana!... Wczoraj dała mi znać, że już nie powróci... Tymczasem zjawiła się przed chwilą i utrzymywała, że nikomu nie dawała podobnego zlecenia... I nagle nic nie mówiąc, obróciła się i wyszła.

— Dziękuję.

I gość, uchylając znowu kapelusza, wyszedł.

Zaintrygowanie w pralni Lambert dosięgło szczytu. Właścicielka, biorąc się do pracy, postawiła gorące żelazko na koszuli i spaliła ją. Jeszcze nigdy jej się to nie zdarzyło.

Panajon, wsiadając do samochodu, kazał się wieść do Maksyma Dureta.

— Do licha! Przepadło! — mruczał. — Gdzie jej teraz szukać? Już niema przy niej ajentów, by mi to powiedzieli... Śledzenie jej skończyło się wczoraj... A zresztą, gdybym ją nawet odnalazł, jak ją skłonić, by się oddała pod mą opiekę? Ach! sapristi!.. Co za nieszczęście, że nie mogłem jej przetrzymać przez jakie dwa, trzy dni... by wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy od Dureta i jego siostrzenicy. Odwiózłbym ją następnie Piotrowi Cartelegue'owi... I dostałbym za to porządną nagrodę. Mój dobry uczynek byłby zarazem i dobrym interesem... Ale tem gorzej dla prezesa i baronowej! Wyżyłuję ich do ostatniego szeląga!

W takim nastroju znalazł się złodziej przed willą filantropa.

Drzwi otworzył mu służący. Panajon odsunął go na bok i wszedł do westybulu, nie mówiąc ani słowa do lokaja, który szedł za nim zdumiony. Nie chciał się anonsować. Czas grzeczności już minął. Udał się wprost do gabinetu i wszedł. Nie zapukał nawet do drzwi i nie zdjął cylindra.

Maksym Duret siedział przy swem biurku. Miał bladą i zmęczoną twarz, jak człowiek, który przez noc nie zmrużył wcale oka.

— Wreszcie! — rzekł, widząc złodzieja. — Dwadzieścia razy telefonowałem od wczoraj wieczór na ulicę Boissy-d'Anglas! Gdzież pan był?

— W Tuileries-Palace... razem z panną Ewą. I rozkazałem, aby mi nie przeszkadzano pod żadnym pozorem...

— Lecz ja miałem zakomunikować panu coś bardzo ważnego!

— Ach?...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Jaworzno.

Pierwsza z drugą dziś w modzie:
Przy słocie, czy pogodzie
Noszą starzy i młodzi.
Druga z pierwszą zaś rodzi
Czarujące walczyki
I szalone mazury
Albo przez urzędniki
Ułożona jest z góry.

Piramida.

Ułożył S. Faliszewski, Baligród.

Chcesz piramidę rozwiązać bez troski,
To w miejsce znaków włóż właściwe głoski.
A wnet wytrysną pośród fal łożyska
Dwóch dobrze znanych Polaków nazwiska.
Dla łatwiejszego jeszcze rozwiązania
Przytoczę tutaj ot te cztery zdania:
Byś zebrał głoski Czytelniku miły
Z przodu i z tyłu, od góry, nie wstecz,
Dostaniesz mężów, obydwóch wsławiły,
Pierwszego pióro, zaś drugiego miecz!

□
□ — — □
□ — — — □
□ — — — — □
□ — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — — — □
□ — — — — — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Skóra z włosami pewnego zwierzęcia. 3. Imię męskie zdrobniałe. 4. Miasto starożytne w gubernii płockiej. 5. Poeta polski. 6. Imię męskie w piątym przypadku. 7. Angielska autorka. 8. Ostatni król judzki, zmarły w Babilonie. 9. Miasto nad Jenisejem. 10. Źródło rzeki Donu w gubernii tulskiej.

Logogryf.

Ułożył J. Piątkowski, Podgórze.

Litery odpowiednio wynalezionych wyrazów w rzędzie drugim, czytanym z góry na dół, dadzą nazwisko polskiego poety, w czwartym, czytane odwrotnie, tytuł jego utworu.

— □ — □ —
— □ — □ —
— □ — □ —
— □ — □ —
— □ — □ —
— □ — □ —
— □ — □ —
— □ — □ —
— □ — □ —
— □ — □ —

Znaczenie wyrazów: 1. Rodzaj zboża. 2. Inaczej skutek. 3. Część egzaminu. 4. Głos ptaków. 5. Instrument muzyczny. 6. Przyrząd do latania. 7. Zbiór zboża. 8. Owad i przysłówek. 9. Wspak czytane stworzenia, mieszkające w wodzie. 10. Kraj wchodzący niegdyś w skład państwa polskiego.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Całość, to z morskiej piany się wytwarza
I podczas burzy widzieć je się zdarza,
Czasem i okręt w głębinę zanurzy!
Lecz i na lądzie jest ich zastęp duży...
Jedne i drugie najczęściej nam szkodzą,
Te może więcej, ce po ziemi chodzą.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Menczak, Radymno.

Podane litery tak uporządkować, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a
l	l	p	r
r	r	r	s
s	u	u	u

Znaczenie wyrazów: 1. Pseudonim polskiego powieściopisarza. 2. Część każdej prawie maszyny. 3. Góry na pograniczu Europy. 4. Duży pokój.

Łamigłówka.

Ułożył K. Kaim, Kraków.

W miejsce kresek wstawić odpowiednie litery, aby uzupełnić podane wyrazy. Wstawione litery, czytane z góry na dół, utworzą zdarzenie, o którem w ubiegłym tygodniu mówiono w Krakowie z wielkiem oburzeniem.

Sa —
tu —
— ra
— on
ze —
on —
— wa
— er
pa —
os —
— ąs
— bo
ró —
źl —
— ek
— fa

Zadanie do przestawienia.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
Biodro, ch, fama, pogan, sadze, szczur, widz.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Jordana:* **Z teki Marymontczyka.**

Magazyn Krawiecki M. Czaji[illegible]i W. Rechowicza

KRAKÓW, Mikołajska l. 24.

Materyały i krój angielski, wykończenie artystyczne

Lalki

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie

poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI

W KRAKOWIE. ULICA GRODZKA L. 2

„Rewizor z Petersburga“

znakomita sztuka Gogola wyszła właśnie w 12-centowej

Bibliotece Powszechnej

której NOWA SERYA zawiera:

801. **Słowacki**, Złota czaszka 24 hal.
802/803 **Wergiliusz**, Georgiki 48 hal.
804/806. **Kuncewicz**, Ustęp z „Gita-Govindy“ 72 hal.
807/808. **Dickens**, Szkice 48 hal.
809/810. **Karjagin**. Konfucyusz 48 hal.
811/812. **Byron**, Kain 48 hal.
813/814. **Fredro**, Gwałtn, co się dzieje! 48 h.
815. **Słowacki**, Poemat Piasta Dantyszka 24 hal.
816. Bigos literacki 24 hal.
817/818. **Gogol**, Rewizor z Petersb. 48 h.
819/820. **Ibsen**, Kobieta morska 48 hal.

Dalsze tomiki w druku.

Równocześnie wyszły:

w Zukerkandla „Bibliotece Klasyków“
Z. 298/301. **Cicero**. Leliusz
Z. 302. **Homer**, Iliada ks. II.
Pojedynczy zeszyt 20 hal. (pod opaską 23 hal.)
Dalsze zeszyty w druku.

W „Biblioteczce dla dzieci i młodzieży“
Ks. 39. W polskiej puszczy 50 h.
Ks. 40. Bratnie dusze 40 h.
Ks. 41. Legionista 40 h.
Dalsze książeczki w druku.

W Zukerkandla „Zbiorze ustaw“
T. XXV. Ustawa szynkowa o handlu napojami wyskokowymi, ich wyszynku i drobnej sprzedaży wraz z rozp. wyk. K 1·50.
T. XXVI. Ustawa o zarządzeniach z powodu wygaśnięcia prawa propinacyi (**Ustawa o płatach szynkarskich**) wraz z rozporządzeniem wykonawczem 80 h.
Dalsze tomy w druku.

Do nabycia we wszystkich księgarniach lub **wprost w księgarni nakładowej**

W. Zukerkandla w Złoczowie.

Szczegółowe katalogi darmo i opłatnie.

TAPETY MATERYE DYWANY

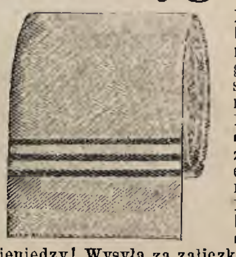
od najtańszych do najwykwintniejszych na ściany i sufity | meblowe, wełniane, dywanowe, jedwabne na każdą cenę | do sypialń, jadalń, salonów we wszystkich stylach i kolorach

Cenniki i wzory wysyłam opłatnie

Poleca **W. ADAMSKI, WE LWOWIE.**

Cenniki i wzory wysyłam opłatnie

Koce tygrysie dobrej i trwałej jakości



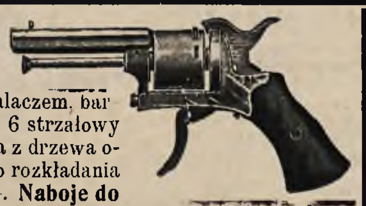
Nr. 2051 **okazyjne tygrysie koce flanelowe**, grube. drapp, ze szlakami biało nakrapianymi i prążkami, 175 cm. długie, 100 cm. szerokie, **po K 2·20** za sztukę. Nr. 2051 3 4 takiesame z tłem nakrapianem, ze szlakiem w prążki, 124×190 cm. mające **K 2·60**. Nr. 2050 **nadzwyczaj tanie koce**, szaro drapp, z pstrym szlakiem, 175 cm. długie, 100 cm. szer. **K 1·70**. Nr. 2050 1|2 takie same w lepszej jakości 190 cm. długie, 130 cm. szer. **K. 2·40**. Największy wybór w moim katalogu głównym. **Bez ryzyka!** Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy! Wysyła za zaliczką lub po otrzymaniu należytości z góry

c. i k. nadworny dostawca HANNS KONRAD,

Dom wysyłkowy w Brüx Nr. 3606 (Czechy).

Katalog główny z przeszło 3000 odbitkami za żądanie darmo i opłatnie.

REWOLWER dla kolarzy!



Nr. 112.

Z panewkowem zapalaczem, bardzo ulubiony model, 6 strzałowy gładko poler, rączka z drzewa orzechow., cyngiel do rozkładania 12 cm. długi K 8·—. **Naboje do rewolweru** syst. panewkow. Nr. 500 za 100 szt. K [illegible]15. **Bez ryzyka!** Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy! Bardzo wielki wybór broni wszystkich rodzaji, znajduje się w moim głównym katalogu z przeszło 3000 rycinami, który wysyła się każdemu za darmo i opłacony przez c. i k. nadw. dostawcę

Hanns Konrad, dom wysylk. **w Brüx Nr. 3615** (Czechy).

Najtańsze maszyny

do robienia pończoch

w **Austro-Węgrzech** dostarcza Dom wysyłkowy

J. F. Nouzák, Praga (Czechy) **Riegerquai 24/47.**

Cenniki darmo. Dzienny zarobek 4 korony.

Pierścionki zaręczynowe z 14 karat. złota.



Nr. 6382 grawirowany, z prawdziwym dyamentem K. **15·—, 16·—, 18·—, 20·—**. Nr. 6384 z prawdziwym opalem, wysadzany dyamentami po K. **40·—, 45·—, 50·—** Największy wybór biżuteryi różnego rodzaju w moim katalogu głównym, który zawiera przeszło 3000 odbitek. Wysyłam na żądanie każdemu darmo i opłatnie. Wysyłka za zaliczką, albo za poprzedniem przesłaniem należytości.

C. i k. **nadworny jubiler.**

HANNS KONRAD

Dom wysyłkowy w Brüx

Nr. 3634 (Czechy).

Sanatoryum i Zakład Wodoleczniczy

spec. chor. nerwowych

Dra KUPCZYKA

Kraków, ulica Szujskiego 11

SPRZEDAJEMY

z powodu minionego sezonu, wszelkie w zapasie będące najnowsze wełniane i do prania materye, na suknie damskie, bluzki, szlafroki, ubrania dziecinne, jak również wszelkie lniane i bawełniane materye etc. etc.

po połowie ceny.

Proszę korzystać z tej rzadkiej i nadarzającej się sposobności i zażądać naszej **bezpłatnie okazyjnej kolekcyi próbek** z znacznie zniżonemi cenami jak również **wspaniale illustrowanego katalogu na Gwiazdkę** ze stu odbitkami wszelkich wymyślonych podarków, rzeczy potrzebnych, zabawek etc.

Wielki magazyn „Au Prix Fixe“, Wiedeń I.,

Graben 15/8.

Wchód przez ul. Habsburgską 1.

Nowość XX. wieku! Patent we wszystkich państwach. 3000 obrotów na minutę.



Sensacya gwiazdkowa!

SIŁĘ JEDNEGO

CZŁOWIEKA

można uzyskać przez użycie mej turbinki wodociągowej. Niezbędne dla zegarmistrzów, dentystów, ślifierzy, ślusarzy.



W połączeniu z odpowiednią dynamo świeci 10—15 lampek elektrycznych. — Wody zużywa zadziwiająco mało. Szybkość obrotów łatwo się reguluje.

9 koron sztuka Znakomite do lokali restauracyjnych w połączeniu z wentylatorem. **9 koron sztuka**

Wysyła za zaliczką. Nie liczy porta i opakowania, jeśli należytość zostanie z góry nadesłaną.

Wł. J. Gargul, Bochnia.

Proszę zażądać prospektu.

---

5 Koron

kosztuje mój wspaniały szwajcarski Anker-Remontoir zegarek, syst. Roskopf Nr. 4060.

3-letnia gwarancya!



O doskonałym, silnym werku, zabezpieczonym pancerzem, z pięknym emaliowanym cyferblatem (nie z papieru), w eleganckiej niklowej oprawie, opatrzony plombą ochronną, idący 36 godzin (nie 12 godzin), posiadający ozdobne, złocone wskazówek doskonale uregulowany, z 3-letnią pisemną gwarancyą za sztukę K 5·—

Nr. 4062 ze wskazówką sekundową „ 6·—
Nr. 4098 w prawdziwej srebrnej opr. bez wskaz. sekund. „ 11·—
3 sztuki „ 31·—
Nr. 4101 ze wskazówką sekundową „ 13·50
Nr. 4079 taki sam w stalowej oprawie „ 6·80

Wielki wybór różnego rodzaju zegarków w moim głównym katalogu!

Żadne ryzyko!

Zamiana dozwolona, albo zwracamy pieniądze.

Wysyłka za zaliczką, lub za poprzedniem nadesłaniem należytości.

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW

Hanns Konrad c. i k. nadw. dost. **w Brüx Nr. 3579**

Cchy)ez(. — Bogato illustr. katalog z przeszło 3000 wzorami wysyła się każdemu darmo i opłatnie.

Wyborna brzytwa Solingen.



Za każdą u mnie nabytą brzytwę daję zupełne poręczenie, gdyż wszystkie są kute z najlepszej stali angielskiej, **ręcznie ostrzone** na włos obciągnięte, gotowe do natychmiastowego użytku.

Nr. 8701.	Czarno poler. okładki	1/4 wklęsła	4/8	szer. z etui	K	1·70
„ 8702.	„ „ „	1/2 „	4/8	„ „	„	2·20
„ 8706.	„ „ „	3/4 „	4/8	„ „	„	2·80
„ 8707.	„ „ „	1/1 „	4/8	„ „	„	3·20
„ 8713.	Świetnie naślad. kości słoniow.		4/8	„ „	„	2·60

Bardzo wielki wybór brzytew, garniturów i przyborów do golenia znajduje się w mym katalogu głównym z 3000 rycinami, który na żądanie wysyła się każdemu na żądanie darmo i opłacony.

Wysyła za zaliczką lub po otrzymaniu należytości c. i k. nadworny dostawca

Hanns Konrad, dom wysyłkowy **w Brüx Nr. 3599 (Czechy).**

Pierwszorzędna Pracownia

SUKIEN MĘSKICH

Materyały i krój angielski

Leona Grabowskiego

właściciel firmy:

Gabryel Grabowski

Wykończenie artystyczne.

w Krakowie. ulica Szpitalna L. 36. — Telefon Nr. 361.

Bluzy

wełniane i jedwabne. — Halki włóczkowe hymalaja pół jedwabne — Szale — Kamasze — Pończochy — Rękawiczki — Woale — Żaboty — Pióra strusie — Wstążki — Koronki i przybory do sukien oraz do szycia

POLECA

Zygmunt Ślimakowski

Kraków Linia A-B (obok gł. trafiki)

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie